ZWYCIĘŻYMY

ORZEŁ BIAŁY

Polska walcząca na ziemi włoskiej

ROK V Nr 46 (181) NIEDZIELA, 18 LISTOPADA 1945 R. CENA 15 LIRÓW

ANDRZEJ PUSIŁŁO

Polityka sowiecka po klęsce „osi"

Zrozumienie jasne i istotne dzisiejszego położenia międzynarodowego, wytworzonego po militarnej klęsce państw osi, wymaga zdania sobie sprawy w pierwszym rzędzie z dążeń, możliwości i konieczności polityki sowieckiej. Aby zaś z kolei zrozumieć politykę sowiecką trzeba się odwołać do jej podstawowych założeń, z których — w tym mocarstwie klasycznego totalizmu — wszystko konsekwentnie i koniecznie wypływa. Pomiędzy dogmatami ideologii partyjnej bowiem, której fanatyzmem przeniknięta jest sowiecka warstwa rządząca, a pomiędzy wytycznymi polityki Kremla istnieje ścisły związek, którego naruszenie musiałoby grozić nieuchronnie załamaniem się całego systemu, a następnie i sowieckiego imperium. Współdziałalność ta ma również swoje konsekwencje za granicą, bo ideologia partyjna prowadzi i trzyma w karbach także i ten niezmiernie ważny współczynnik sowieckiej siły mocarstwowej i awangardę bolszewickiej ekspansji międzynarodowej, jaką tworzy w każdym kraju — komunistyczna partia.

Do podstawowych założeń ideologii bolszewizmu, stworzonej i przekazanej w testamencie Lenina, należy teza, że na kuli ziemskiej nie mogą współżyć obok siebie dwa ustroje: tak zw. kapitalistyczny i komunistyczny. Jest pomiędzy nimi przepaść i musi się toczyć walka, która doprowadzi do decydującego zwycięstwa jednego z nich. Albo Związek Sowiecki doprowadzi przez rewolucję lub wszelkimi innymi sposobami do obalenia w innych krajach świata ustroju, zwanego w Rosji „kapitalistycznym", albo — załamać się musi ustrój stworzony przez partię komunistyczną na obszarach Rosji. Ta zasada przepoić musiała bolszewizm i politykę sowiecką duchem koniecznego imperializmu, dynamiką nieprzerwanego parcia na zewnątrz, na cały świat.

System sowiecki, czyli olbrzymie państwo, uzupełnione odnogami partii komunistycznych działających we wszystkich krajach, stał się w ten sposób organizmem obliczonym na wyrost i rozrost terytorialny, niezdolnym do życia na ograniczonym obszarze bez tego procesu rozwojowego. Ideologia zaś bolszewicka wystąpiła pierwsza w bieżącym okresie historii z tezą, że jeden ustrój musi zapanować na kuli ziemskiej, czyli w rozumieniu Moskwy — komunistyczny.

Trzeba stwierdzić, że Lenin z tą swoją tezą, wyżej streszczoną, stał się dzisiaj znacznie bardziej aktualny, niż przed dwudziestu przeszło laty, kiedy ją formułował. Wendell Willkie, zmarły niedawno polityk amerykański, był autorem książki pt. „Jeden świat", a literatura głosząca ten ideał rośnie nieustannie. Prezydent St. Zjedn. Truman oświadczył wielokrotnie, że na całym świecie winien zapanować jeden i ten sam „sposób życia", a rozwój techniki ukoronowany bombą atomową nadają temu ideałowi charakter coraz bardziej konkretny, wojskowy i polityczny. Bo naprawdę „jeden" jest świat, w którym z każdego jego punktu może być każdego dnia i godziny zaatakowany straszliwym ciosem bomby atomowej każdy inny jego punkt. A skoro szósta część kuli ziemskiej jest we władaniu leninowskiej doktryny o konieczności rewolucyjnego i bezwzględnego zniszczenia ustrojów reszty świata, to — gdy zdobycze techniki pozwalają na podjęcie gigantycznego podboju — nic dziwnego, że idea „jednego świata" zyskała prawo obywatelstwa również wśród narodów cywilizacji demokratycznej i chrześcijańskiej, nazywanych przez Moskwę kapitalistycznymi. Tego wymaga ich prosty instynkt obronny.

Leninowski cel rewolucji światowej i obalenia ustroju antykomunistycznego nie mógł być oczywiście — według pojęć sowieckich — spełniony od razu. Bolszewizm posiadał od początku swoją teorię urzeczywistnienia tego celu. Zdaniem Lenina — który był znakomitym znawcą duszy rosyjskiej oraz innych narodów eurazjatyckich, a natomiast mylił się zasadniczo w przewidywaniach, dotyczących narodów cywilizacji chrześciańskiej — już w rezultacie poprzedniej wojny światowej powinno było dojść do powszechnej rewolucji i zapanowania dyktatury proletariatu. W rzeczywistości nie doszło do tego ani przed śmiercią Lenina, która nastąpiła w roku 1924, ani nie doszło później.

WARSZAWA POD OKUPACJĄ

(„Newsweek" z 5. IX. 45).

Na ulicach zniszczonej Warszawy nieuprzątnięte gruzy służą do budowy prowizorycznych straganów.

Związek Sowiecki nie osiągnąwszy bezpośrednio tego celu, zamknął się w swoich granicach i odosobnił od reszty świata, działając poza murem chińskim tych granic jedynie za pośrednictwem komunistycznych partii, kierowanych centralnie z Moskwy. Przesłanką polityki sowieckiej na tym etapie stał się fakt „kapitalistycznego okrążenia". By zachować swój ustrój wewnętrzny w tym okresie, póki ustrój „kapitalistyczny" panuje jeszcze naokoło. Związek Sowiecki przyjął zasadę bezwzględnego odosobnienia się od reszty świata pod względem politycznym, gospodarczym, kulturalnym i ideowym czyli we wszystkich dziedzinach życia ludzkiego. W ten sposób odosobniony, postanowił Z.S.S.R. stworzyć własnymi siłami samowystarczalny ustrój społeczny, niezależny od zagranicy i rozporządzający możliwie największą siłą militarną. Wyrazem tego dążenia stały się „pięciolatki" czyli etapy budowania olbrzymiej machiny wojennej, kosztem wolności i dobrobytu narodów Związku Sowieckiego. Wielkie te ofiary wymuszano z jednej strony terrorem, a z drugiej strony zapewniano szerokie masy obywateli sowieckich, że jest to okres przejściowy, podyktowany „okrążeniem kapitalistycznym", po którego przełamaniu przyjdzie czas dobrobytu i powszechnej szczęśliwości. Uzupełnieniem tych założeń było równoległe przeświadczenie — oparte również na teorii Lenina — że istnienie państw „kapitalistycznych" musi prowadzić do wojny i że jeśli nie poprzednia to następna, nieuchronna wojna utoruje drogę rewolucji światowej.

Taktyka polityczna Moskwy przez cały okres między dwiema wojnami światowymi, wypływała ściśle ze streszczonych wyżej założeń teoretycznych, a objawiła się najwyraźniej w przededniu wojny r. 1939. Wojna między mocarstwami zachodnimi, podzielonymi w tym czasie na dwa, przeciwstawione sobie obozy, demokracji i państw osi, była najbardziej oczekiwanym i pośrednio przygotowanym przez Sowiety zjawiskiem. Sytuacja z sierpnia roku 1939 dała Moskwie sposobność do bezpośredniego działania. Pakt o nieagresji pomiędzy Niemcami a Rosją z sierpnia 1939 umożliwił Hitlerowi atak na Polskę i rozpętanie drugiej wojny światowej. W Moskwie uznano, że nadeszła długo oczekiwana godzina wojny pomiędzy państwami zachodnimi, której Sowiety będą się przypatrywały neutralnie, aż możliwie równomiernie wykrwawieniu obu przeciwników pozwoli na łatwą, ostateczną interwencję i stworzy atmosferę dla rewolucji światowej.

Optymizm okazał się przesadny. Neutralność swoją musiał Z.S.R.R. przerwać w Europie i od zachodu — dzięki agresji Niemiec po błyskawicznej klęsce Francji — zbyt wcześnie, a na Dal. Wschodzie zdobył się na przełamanie swojej neutralności i na interwencję wobec Japonii — zbyt późno. Sytuacja wytworzona po rozbiciu państ osi w rezultacie drugiej wojny światowej nie odpowiada niewątpliwie doktrynom, przewidywaniom i nadziejom Moskwy.

Należy ją rozpatrzyć z punktu widzenia sowieckiego bardziej szczegółowo.

Rosja Sowiecka nie jest dziś bynajmniej wyspą siły militarnej, potęgi państwowej i dobrobytu, wśród morza wyniszczonych i wykrwawionych we wzajemnych walkach, a skłóconych i paraliżujących się wzajemnie, dojrzałych po rewolucji wewnętrznej, państw reszty świata, jak to zapowiadała komunistyczna teoria partyjna. Wręcz przeciwnie, w wyniku drugiej wojny światowej, Sowiety są oczywiście — pomimo osiągniętych, ale nie roztrzygających zdobyczy terytorialnych — bardziej odległe od swego zasadniczego celu przełamania „kapitalistycznego okrążenia" i w gorszym niż w r. 1939 położeniu międzynarodowym.

Naprzód dlatego, że wyszły z wojny bardziej wyniszczone, słabsze wojskowo, zwłaszcza technicznie i gospodarczo, od mocarstw demokracji, a powtóre i przede wszystkim dlatego, że mają dziś naprzeciw siebie, nie paraliżujące się nawzajem bloki państw, ale jeden i zwierający się coraz bardziej obóz narodów chrześcijańskich i demokratycznych, przewodzony przez wielkie narody anglosaskie. „Okrążenie kapitalistyczne" jest przeto dzisiaj i bardziej bezpośrednie (granice sfer wpływów i zarazem okupacji wojskowych od Europy poprzez Środkowy aż po Daleki Wschód) i — co najważniejsze — reprezentowane jest przez czynnik znacznie bardziej jednolity, niż w okresie przed ostatnią wojną, gdy naprzeciw wielkich demokracji i oddzielając je od Z.S.R.R., stały prócz Polski i państw mniejszych mocarstwa osi, Niemcy i Japonia. Tym czynnikiem jest dziś zespół państw spięty potężną klamrą, pogłębiającego się coraz bardziej, współdziałania W. Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi. Równocześnie szczytem i zarazem symbolem wyższości technicznej obozu demokracji stała się tajemnica bomby atomowej, narzędzia panowania nad „jednym światem" przyszłości.

Jeśli chodzi o płaszczyznę mocarstwowych celów terytorialnych Z.S.R.R. to wynik wojny dał jej zdobycze wielkie, ale bynajmniej nie zasadnicze ani rozstrzygające, zwłaszcza w warunkach dzisiejszej techniki wojennej. Opanowanie państw bałtyckich, Polski, Czechosłowacji i połowy Niemiec, dało Sowietom w Europie pozycję mocną, ale ani decydującą ani trwałą. Nie dało im panowania nad Europą, a mianowicie z tej głównie przyczyny, że nie mają całych Niemiec a rozczłonkowanie tego narodu musi być przez wszystkich uważane za zjawisko przejściowe, rozstrzygnięcie połowiczne i kość niezgody pomiędzy obu stronami. Na najważniejszym, południowym kierunku ekspansji rosyjskiej, dążącej do wyjścia na ciepłe morza poprzez Dardanele i na zatokę Perską oraz do umocnienia się na Środkowym Wschodzie, Z.S.R.R. osiągnął zaledwie punkty wyjścia do dalszej akcji przez opanowanie Bałkanów i wojskowe podstawy w północnym Iranie. Na Dalekim Wschodzie osiągnięcia sowieckie są najskromniejsze i najbardziej wątpliwe. Mandżuria ma być chińska, a Korea niepodległa i dopiero komunistyczne wojska chińskie miałyby osiągnąć dla Moskwy jakieś rozstrzygnięcia pożądane, ale wbrew oficjalnie zawartym układom.

Wspólny przeto bilans terytorialnych osiągnięć sowieckich w tej wojnie da się scharakteryzować z punktu widzenia sowieckiego, jako połowiczny, a z punktu widzenia stosunków pomiędzy Związkiem Sowieckim a wielkimi demokracjami, jako jedno pasmo palących spraw spornych i tlejących albo już płonących, jak w Chinach, zarzewi nowych konfliktów. Planowana w Poczdamie współadministracja Niemiec spełzła na niczym i zamieniła się w pogłębiającą się oddzielność poszczególnych stref okupacyjnych. Na Bałkanach toczy się walka dyplomatyczna o rozmiar i stopień zależności narodów bałkańskich od Moskwy. Na Środkowy Wschód odbywa się jakieś tak natarczywe parcie Związku Sowieckiego od północy, że min. Bevin wspomniał niedawno w Izbie Gmin o niebezpieczeństwie przepołowienia imperium brytyjskiego i chwycenia Anglii za gardło. Na Dalekim Wscho-

(Dokończenie na str. 12.)

JANOSTA

PRZYCZYNY WZMOCNIENIA OKUPACJI W KRAJU

W ciągu czterech miesięcy, które upłynęły od czasu podpisania przez Mikołajczyka ugody moskiewskiej i od jego wstąpienia do komitetu Bieruta — jako rzekomego „Tymczasowego Rządu Polskiego Jedności Narodowej" — rozwój sytuacji w Polsce wyraził się w szeregu powszechnie już znanych faktów. Trzy najdonioślejsze z nich — to: 1. wzmocnienie okupacji Kraju przez wojska sowieckie; 2. wprowadzenie powszechnego przymusu pracy, 3. upaństwowienie produkcji rolnej.

Waga i wymowa tych faktów pozwala dziś już nie tylko nam, ale i całemu światu uważać fakty te za wyniki działalności „Tymczasowego Rządu Polskiego Jedności Narodowej" — jako instrumentu polityki Moskwy w Polsce.

Waga tych faktów dała już komitetowi Bieruta i jego przedstawicielom powód do wielu wyjaśnień oficjalnych. Prasa — w szczególności prasa anglosaska, francuska, włoska i szwedzka, a także prasa polska — podały wiele szczegółów i domysłów, które nie objęły jeszcze całości sprawy. Wydaje się przeto wskazane zebrać w jedno wszystkie dane dotychczasowe oraz uzupełnić je wiadomościami z Kraju. Dopiero pełna synteza wszystkich tych danych na tle obecnej sytuacji międzynarodowej pozwala na wyciągnięcie jednolitych wniosków:

Wejrzawszy w przyczynę każdego z tych faktów, przekonujemy się, że wszystkie one naraz i każdy z osobna — świadczą, iż społeczeństwo polskie odrzuciło zarówno układ jałtański oraz ugodę moskiewską — jako akty wcielenia Polski do Związku Sowieckiego.

Równocześnie na forum międzynarodowym upadła myśl „parcelacji pokoju", stało się bowiem widoczne, że Rosja nie dąży do pokoju jako wyrównania sporów, nie zamierza oddać żadnej zdobyczy wzamian za „prawo" zachowania ich części i traktuje je wszystkie na równi. Na odwrót: dla Zachodu także staje się jasne, że skoro żądanie od Rosji ustępstw częściowych nie odniosło skutku — nie pozostaje nic innego, jak wszystkie sprawy sporne traktować na równi — na płaszczyźnie jednej zasady ogólnej — żądając od Rosji już nie cząstkowych lecz generalnych ustępstw. Nie ulega wątpliwości, że ta nowa sytuacja podcina przesłanki jałtańskiej ugody co do Polski: wszakże była ona pomyślana wedle formuły "do ut des" — jako ustępstwo zaofiarowane Rosji dla uzyskania wzamian ustępstw od Rosji. „Oferta" została przyjęta — lecz nie została odwzajemniona. W tym stanie rzeczy upadają przesłanki „na próżno" uczynionej „ofiary". Ugoda jałtańska traci swą wartość i ważność... ofiary dla pokoju.

Wnikając wreszcie w sens i wymowę na wstępie wymienionych faktów, przekonujemy się, że burzą one cały gmach fałszu, którym Moskwa nakryła Polskę jak dzwonem. Z rozpękłej pokrywy fałszu sterczą na zewnątrz kaidany, w które Polskę zakuto — dziś już widoczne całemu światu.

Acz wymienione na wstępie fakty są konkluzjami bardzo złożonych procesów — sens samych faktów jest jednak tak oczywisty i określony, że mogą one służyć za podstawę i wnioskom i ocenie.

Nowa armia okupacyjna

Weźmy pierwszy z tych faktów: wzmocnienie okupacji Kraju. Nie wiemy wprawdzie, czy do tego kroku bardziej skłoniły Moskwę przyczyny wewnętrzne czy zewnętrzne — nie ulega jednak wątpliwości, że nie jest to demonstracja — lecz fakt rzeczywisty. Chociaż okupacja Kraju przez wojska sowieckie trwa nieprzerwanie od dnia ich wkroczenia do Polski — „novum" polega dziś na tym, że okupację utrzymano oraz wzmocniono przez wprowadzenie nowych wojsk, które objęły władzę wojskową w powierzonych sowieckim generałom „polskich guberniach". Każdy z generałów ma nieograniczone pełnomocnictwa. Jako ich kwatery wymienia się: Warszawę, Kraków, Lublin, Białystok, Kielce, Łódź, Katowice, Gdańsk i Częstochowę. Siłę nowej armii okupacyjnej, którą dowodzi Rokossowski, ocenia się w Kraju na 200.000. Prasa szwedzka wymienia cyfrę zbliżoną: 175.000 z tym, że każde województwo obsadza jedna dywizja.

To utrzymanie i wzmocnienie okupacji jest faktem, który obala główne twierdzenie Moskwy o Polsce — mianowicie tezę, że „dzięki Moskwie w Polsce dokonała się rewolucja ludowa", że „lud polski pierwszy raz w swej historii cała w państwie posiadł władzę" i że „odtąd sam lud w Polsce kształtować będzie prawa swe i obowiązki".

Wzmocnienie trwającej już od roku okupacji wojennej w Polsce świadczy niezbicie, że to stworzone bolszewickimi rękami „państwo ludowe" nie jest w stanie ustać na własnych nogach, że dla utarzmienia społeczeństwa polskiego nie wystarcza Bierutowi ani 50 tysięcy ponoć licząca „armia ludowa" — ani wyposażony w czołgi i samochody pancerne „Korpus Bezpieczeństwa" do wojny ze społeczeństwem — złożony z wielu pułków różnych broni, którego 8 baonów podjęło już „akcję" w Lubelskim, Jarosławskim i Myślenickim, — ani „milicja" — ani dotychczasowe garnizony wojsk sowieckich — ani wreszcie bataliony NKWD, które przeprowadziły wiosną tyle krwawych „pacyfikacyj" we wszystkich częściach Kraju.

Zawiodła pracowicie przez 30 lat przygotowywana przez Moskwę „rewolucja bolszewicka" w Polsce — chociaż w pięcioletniej walce z Niemcami społeczeństwo polskie wyczerpało najlepsze swe siły — chociaż Rosja od r. 1939 wytraciła i wywiozła z Kraju setki tysięcy najdzielniejszych żołnierzy i obywateli — w tym jedynie celu, aby utorować drogę bolszewickim rządom w Polsce.

Obecne wzmocnienie okupacji — po nieudanej próbie wycofania wojsk z Polski — świadczy nie tylko, że „rząd" Bieruta mimo wszystko nie jest w stanie sam się utrzymać przy władzy — ale także, że Moskwa chce sobie stworzyć w Polsce jeszcze szerszą podstawę wojskową dla dalszego terroru oraz dla ostatecznej sowietyzacji społeczeństwa polskiego. Przez to samo osiąga ona zarazem cel strategiczny: ostateczne ujarzmienie Polski jako klucza Europy Południowo-Wschodniej zabezpiecza Moskwie pełną swobodę strategiczną.

Nie zwiodą nas ostatnio złożone oświadczenia „ministrów" i „ambasadorów" Bieruta: Stańczyka, Rzymowskiego Strassburgera, Skrzeszewskiego i Ostrowskiego, którzy „wyjaśnili", że wzmocnienie okupacji sowieckiej w Polsce nastąpiło w celu oczyszczenia kraju z band dezerterów, własowców i wilkołaków niemieckich". W oświadczeniach tych prawdziwe jest tylko zapewnienie o „wiedzy i zgodzie" komitetu Bieruta i o zawarciu w tym celu „polsko-sowieckiego układu". Skłonni jesteśmy dać wiarę nawet słowom Strassburgera, który oświadczył, że stało się to „na zaproszenie rządu warszawskiego" — ponieważ jesteśmy pewni, że gdyby wojska sowieckie wkroczyły do Polski wbrew woli Bieruta — ten niechybnie posłałby przeciw nim swą „armię ludową" i przyzwał na pomoc armie sprzymierzone z Zachodu. Ponieważ jednak stało się odwrotnie — wnioskujemy stąd, że i sytuacja w Kraju była odwrotna i że to właśnie przeciw społeczeństwu polskiemu Bierut wezwał pomocy ze wschodu.

Jednak „ambasadorzy" Bieruta fałszem okryli właściwy cel wezwania posiłków sowieckich. Jakże trafnie minister A. Pragier fałsz ten przygwoździł w swym lapidarnym oświadczeniu: „Jest oczywiste, że im więcej będzie w Polsce wojsk sowieckich — tym więcej będzie dezerterów". Rząd polski w Londynie w swym proteście słusznie skonstatował, że w obliczu świata i historii „rząd" Bieruta jawnie sprzeniewierzył się i zaparł miana „rządu narodowego" — skoro na Kraj sam obce wojska naprowadza.

Lecz ponad hańbę tego sprzeniewierzenia, które nikogo nie mogło zdziwić, wybija się wyzierająca z jego czeluści tragedia. Nie jesteśmy jeszcze w stanie zdać sobie sprawy z jej rozmiarów — możemy się jej jednak domyśleć z oficjalnych wyjaśnień i ze wzmianek prasy obcej. Posłuchajmy:

Dziennik szwedzki „*Dagens Nyheter*" powtórzył wywiad z „ambasadorem" Bieruta w Sztokholmie, Ostrowskim, który wyjaśnił, że „wojska sowieckie mają zlikwidować grasujące jeszcze w Polsce hordy włóczęgów i bandy antyspołeczne, które składają się z byłych żołnierzy i byłych partyzantów oraz w ogóle z przeciwników, którzy w wyniku wojny zostali wytrąceni z jakiejbądź formy życia społecznego. Walka przeciwko tym elementom, między którymi znajdują się także Rosjanie, jest prowadzona wyłącznie przez oddziały sowieckie". Wywiad swój zakończył Ostrowski apelem do szwedzkiej opinii publicznej, aby nie uważała obecnej sytuacji wewnętrznej w Polsce za bardzo poważną, ponieważ tylko część organizacyj, które prowadziły w Kraju walkę z Niemcami, działa nadal przeciw Rosji Sowieckiej".

Wbrew temu „apelowi" prasa szwedzka ocenia sytuację w Polsce jako poważną, a ten sam dziennik stwierdza, że „akcja sowiecka ma o wiele większy zakres i poważniejsze powody aniżeli zwalczanie bandytyzmu. Zbiega się ona z tym, że 15 października r. b. upłynął wyznaczony członkom A.K. termin ujawnienia się i złożenia broni... Po nieudanej próbie porozumienia z opozycją rząd warszawski otworzył drzwi akcji sowieckiej, zakrojonej na szeroką skalę. Jednocześnie zaczęto rozpuszczać pr wokacyjne dla uzasadnienia akcji sowieckiej różne „hiobowe wieści" o rzekomym działaniu „tajnych ruchów" w Polsce.

I tak w dzienniku paryskim "*Le Monde*" czytaliśmy depeszę agencji "Associated Press", która doniosła: „W Polsce krążą pogłoski, że nastąpią poważne zamieszki. Podobno odradzają się tajne ruchy w Polsce, których jądrem są członkowie A.K."

25 października Chicago Daily Tribune' powtórzyła nieznaną nam depeszę tej samej agencji sprzed 10 dni o zaburzeniach w Warszawie. Tajemnicza ta depesza — pisze dziennik — „spowodowała skargę warszawskiego ministerstwa spraw zagranicznych do ambasady Sojuszu Zjednoczonych w Warszawie; skarga była umotywowana tym, że depesze takie podniecają (!) polskie ośrodki za granicą do oskarżania rządu warszawskiego o nieudolność — ambasada jednak stanęła w obronie korespondentów. Skłoniono ich jednak do stwierdzenia, że „rząd warszawski usprawnił służbę bezpieczeństwa w Warszawie — tak, iż sytuacja poprawiła się".

Szwedzka "Stockholm Tidningen" ogłasza korespondencję z Polski, donoszącą o „drakońskich zarządzeniach władz warszawskich", w której czytamy: „Według opinii oficjalnych kół warszawskich", w lasach ukrywa się jeszcze wiele tysięcy żołnierzy A.K."

Organ koncernu Kreugera "Aftonbladet" oświetlając sytuację w Polsce po linii argumentów oficjalnych kół warszawskich oblicza „bandy leśne" na najmniej 100.000.

„Pacyfikacja Lasów"

Jak z tego wynika — komitet Bieruta głosi wprawdzie oficjalnie, że celem wojsk sowieckich jest zlikwidowanie grasujących w Polsce band rosyjskich i niemieckich — lecz równocześnie daje do zrozumienia, że zadaniem tych wojsk jest zlikwidowanie „polskich partyzantki".

Po słynnych „akcjach pacyfikacyjnych" w pierwszej połowie bieżącego roku — komitet Bieruta już od dłuższego czasu twierdził niezmiennie, że w Polsce panuje spokój i porządek — skoro więc nagle rozgłasza, że w Polsce szerzy się „partyzantka" — ten nagły zwrot w propagandzie Bieruta skłania do głębszego zastanowienia. Może on znaczyć tylko jedno — to mianowicie, że ukrywającej się w lasach młodzieży ostawiona „amnestia" nie otworzyła drogi powrotu do rodzin i domów i nie dała jej gwarancji bezpiecznego życia na wolności. Rzekomy „wzrost partyzantki" może dziś polegać jedynie na nowej fali ucieczki w lasy przed wzmożonymi ostatnio w Kraju aresztowaniami i deportacjami. Rzekoma ta „partyzantka" nie może być zgoła prawdziwą partyzantką. Jasne jest przecież, że ludzi może dziś w lasach trzymać i pchać znowu w lasy już nie chęć prowadzenia beznadziejnej w obecnych warunkach walki z armią sowiecką — ale po prostu instynkt samozachowawczy, wola ujścia zguby, rozpaczliwa świadomość, że nie ma innego sposobu ocalenia życia i wolności. Ucieczka — choćby szła w tysiące nie wytwarza partyzantki jako walki zaczepnej — lecz rozpaczliwą samoobronę z musu.

Nie jest to spór o słowa: gra słów maskuje tu grę o głowy, gardła i wolność tysięcy. Wtedyż, że polska racja stanu nie przemawia dziś za partyzantką — za tę „rację" Bierut chce kupić sobie prawo bezkarnego wytracania — jako rzekomej „partyzantki" — młodzieży chroniącej się w lasach przed pewną zgubą. Tą „racją" Bierut chce zmusić świat do milczenia wobec tragicznej rzezi bezbronnych zbiegów, która już się rozpoczęła, — bo któż się ośmieli bronić tych, którzy działają rzekomo wbrew racji stanu swego narodu — jeśli racja ta nawet Polakom zamknie usta na kłódki, że i pary z gęby nie puszczą w obronie tych, którzy „sami sobie są winni, bo swoi nierozumem sami na siebie podpisali wyrok wyjęcia spod prawa, stając się poprostu wrogami społeczeństwa — zbójcami."

Ten skrytobójczy fałsz trzeba przygwoździć i wywlec przed oczy świata okrytą nim zbrodnię, która godzi w tysiące wyszczutej z domów i zagnanej w lasy polskiej młodzieży. To co Bierut nazywa „partyzantką" jest w istocie masową ucieczką przed ciągłą groźbą śmierci, więzienia i Sybiru. Groźba ta nie ustaje, lecz rośnie. Więc i ucieczka nie ustaje, lecz trwa i wzrasta. Z początku rozwijała się tylko gdzieniegdzie i wtedy usiłowano zlikwidować ją doraźnymi ekspedycjami NKWD. Ponieważ ze wzrostem terroru objęła ona cały Kraj — Moskwa zorganizowała obecnie plapową pacyfikację całego Kraju.

Że nie jest to tylko domysł — prócz tylko co przytoczonych informacyj prasowych — świadczą o tym także wiadomości z Polski: Od końca lipca wzmogły się w Kraju aresztowania i wywóz do Rosji. 26 października wicеadm. Taylor w Izbie Gmin mówił o „masowych aresztowaniach w Polsce, o których donoszą gazety w ostatnich dniach". 23 października „*Times*" powtórzył za „*New York Times*" depeszę G. Hilla, nadaną po jego wyjeździe z Polski. Depesza ta doniosła: „Władze polskie utworzyły nowy obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Obóz ten jest otoczony drutem kolczastym z prądem elektrycznym. Ilość więźniów w Polsce oblicza się obecnie na 100.000. Władze podają wprawdzie liczbę 1.000 — jednak urzędnicy przyznają, że jest ich od 60 do 80 tysięcy — ponoć głównie „Volksdeutschów". Równocześnie jednak „*Daily Mail*" w depeszy z Waszyngtonu donosi: „Z innych informacyj wynika, iż aresztowano tysiące Polaków za opozycję wobec komunistycznego reżymu."

Nowoprzybyli z Kraju stwierdzają, że z ust pewnego szefa bezpieczeństwa wiedzą, iż w obozie koncentracyjnym w Majdanku pod Lublinem więzi się obecnie 20.000 Polaków, zwiezionych z różnych stron Kraju. Inna osoba opowiada, że 17 sierpnia na ulicach Katowic przeprowadzono obławę policyjną. Inna znowu — opisuje, jak „28 czerwca t.j. nazajutrz po ogłoszeniu „amnestii" prowadzono pod strażą ulicami Pragi grupę około 500 żołnierzy A. K. do więzienia urządzonego jeszcze wiosną w koszarach 36 P. P. przy ulicy 11 Listopada dla ujętych żołnierzy A. K. Więzienie to nigdy nie było puste — stan jego nie spadał poniżej 800 ludzi. Obóz jest ogrodzony naokoło żelaznym parkanem — nadto od strony ulic zabezpieczony zasiekami. Niemal co nocy z obozu tego wyjeżdżają grupy jeńców do obozu koncentracyjnego pod Rembertowem, skąd odchodzi przeciętnie jeden transport tygodniowo na Brześć do Rosji."

Nowoprzybyli opowiadają wreszcie o licznych akcjach, które przeprowadził „Korpus Bezpieczeństwa" w Sandomierskim i Kieleckim w sierpniu — już po żniwach — przy udziale paru pułków. W wyniku aresztowano wiele młodzieży wiejskiej, po której ślad i słuch zaginął. Wiadomo również, że w Jaworznie pod Krakowem założono obóz o powierzchni paru km. kw. Powszechnie wiadomo, że prócz „Volksdeutschów" siedzą w nim tysiące Polaków.

Przybyli opowiadają, że „aresztowaniu podlegają wszyscy, którzy mieli coś wspólnego z Kuchem Podziemnym i z A. K. oraz osoby pracujące rzekomo przeciw Rosji sowieckiej. Wywożeni są tylko ludzie mniej groźni — niebezpieczniejsi traci się na miejscu. Miejscem kaźni jest Zamek Lubelski oraz więzienie w Białymstoku, Siedlcach i Rzeszowie. Oblicza się, że „oficjalnie" rozstrzelano około 20.000 ludzi — lecz trudno zliczyć „drobne" egzekucje przeprowadzone w terenie."

Prócz strachu przed zesłaniem, bodźcem ucieczki jest branka do wojska. Stwierdził to zbiegły z „ambasady" Bieruta w Rzymie do 2. Korpusu lotnik, Polak, por. M. Morawicz, w wywiadzie, ogłoszonym 10 listopada przez dziennik rzymski „Il Quotidiano": „T.zw. polscy bandyci — to młodzież robotnicza i chłopska — element najbardziej patriotyczny w Polsce. Młodzież ta nie chce poddać się poborowi do armii rosyjskiej i dlatego ukrywa się w lasach, unikając wszelkiej styczności z armią czerwoną i z władzami polskimi."

Wszystkie te wiadomości wykazują w dostatecznej mierze, że zadaniem wojsk sowieckich jest przeprowadzenie na wielką skalę tego, co dotąd tylko w części wykonała służba bezpieczeństwa i policja pod kierownictwem NKWD w zakresie aresztów politycznych i poboru.

Obrona nowych reform

Jest to przecież tylko jedno z zadań armii okupacyjnej w Polsce. Bowiem, gdyby miała ona to jedno tylko zadanie — wystarczyłoby przeciągnięcie armii sowieckiej przez Polskę, wystarczyłaby parotygodniowa „kampania pacyfikacyjna". Obsadzenie całego Kraju wojskami, których dowódcy objęliby funkcje „wojennych wielkorządców" województw, świadczy o tym, że krok ten jest wymierzony przeciw całemu społeczeństwu. Wzmianki o walce z bandami dezerterów i z „partyzantką" mają tylko przez odciągnięcie uwagi osłonić cel główny i bardzo szeroki.

Celem tym jest: wsparcie siłą zbrojną dzieł nowych „reform" komitetu Bieruta w Polsce, które niezmiernym brzemieniem kładą się na barki społeczeństwa — mianowicie wprowadzenie powszechnych robót przymusowych oraz zamierzone odebranie chłopom plonu rolnego.

Wszakże „dekret" o robotach przymusowych obejmuje w gruncie rzeczy całą ludność miejską, zaś „ukaz" o produkcji rolnej — całą ludność wiejską. Pierw zyznosi wolność wyboru rodzaju i miejsca pracy i skazuje poprostu ogół obywateli na długoletnie roboty przymusowe. Drugi znowu czyni z pracy na roli poprostu służbę państwową za „ordynarię" na przyżycie. Chłop, który dotąd nie był w stanie uiścić nawet połowy „kontyngentów" — ma odtąd oddawać wszystko.

ST. STA.

Klęska Niemiec w cyfrach

Los Niemiec stanowi jedno z zasadniczych zagadnień powojennej polityki międzynarodowej. Podstawowym założeniem przy rozwiązywaniu tego problemu musi być odpowiedź na następujące pytanie:

Czy Niemcy po obecnej klęsce mają możliwości takiej samodzielnej odbudowy swego życia ekonomicznego i politycznego, by znowu mogły stać się groźbą dla pokoju światowego w ogóle, a europejskiego w szczególności?

Jeśli tak, w jakim okresie czasu może nastąpić nowe ich wzmocnienie się do granic dynamizmu szukającego ujścia w nowej wojnie?

Odpowiedź na te pytania zależy w dużym stopniu od analizy cyfrowego materiału, obrazującego rozmiary klęski niemieckiej. Tego rodzaju cyfry — co prawda jeszcze nie całkiem ściśle — zostały już ogłoszone w prasie brytyjskiej i amerykańskiej i stanowią dostateczną podstawę do wyciągnięcia odpowiednich wniosków.

Zorientowanie się w cyfrowym materiale, przedstawiającym klęskę Niemiec, jest i z tego powodu ważne, że zwłaszcza dyplomacja rosyjska swoje pociągnięcia na terenie międzynarodowym, specjalnie zaś w stosunku do swoich najbliższych sąsiadów, uzasadnia koniecznością zabezpieczenia się przed nową napaścią niemiecką i przed odrodzeniem się niemieckiego militaryzmu. Rozejrzenie się jednak w powstałej w Niemczech sytuacji mocno podważa tę argumentację i prowadzi do wniosku, że ma ona charakter głównie kamuflażowy, względnie, że kryje się poza nią chęć takiego rozwiązania zagadnienia niemieckiego, by Niemcy mogli się stać narzędziem w ręku polityki sowieckiego imperializmu.

Ale przypatrzmy się najpierw samym cyfrom.

Ogrom zniszczenia Rzeszy

Według oceny pewnej grupy niemieckich ekonomistów całkowita szkoda wojenna Niemiec, powstała wskutek zniszczenia miast i przemysłu niemieckiego, wynosi około czterysta miliardów marek niemieckich, co według obecnego kursu równa się dziesięciu miliardom funtów szterlingów, według zaś kursu przedwojennego około trzydziestu dwu miliardom.

Londyński „Observer", cytując powyższe cyfry pisze:

„Ażeby nabrać właściwego wyobrażenia o rozmiarach wojennego zniszczenia Niemiec należy je porównać z cyframi niemieckiego narodowego dochodu w roku 1938. Był to rok, w którym Niemcy, przygotowując się do wojny, miały najwyższe zatrudnienie w przemyśle i zarabiały więcej, aniżeli kiedykolwiek przed tym. Całkowity ich dochód wynosił 77 miliardów marek, podatki zaś zapłacone w tym roku osiągnęły 18 miliardów.

„W najbliższych kilku latach niemiecki dochód narodowy będzie oczywiście znacznie niższy. Z tego niższego dochodu będą Niemcy musiały odbudować swoje życie gospodarcze. Przyjmijmy — pisze dalej „Observer" — że Niemcy będą produkowały i zarabiały w najbliższej przyszłości tak samo, jak w roku 1938. Załóżmy dalej, że z tego dochodu będą mogły one użyć jedną czwartą, czyli około dwudziestu miliardów rocznie na odbudowę swojego zniszczonego kraju. W tym wypadku będą Niemcy potrzebowały dwudziestu lat na odbudowę swoich miast i całego przemysłu. Oczywiście może to mieć miejsce tylko w tym wypadku, gdy ich przemysł będzie mógł pracować na całą swoją pojemność przedwojenną, importować surowce itd. Jest to przypuszczenie co najmniej fantastyczne.

„Zanim zajdzie w budownictwie jakaś zasadnicza rewolucja, która by umożliwiła przyspieszenie procesu odbudowy, odbudowa Niemiec będzie się wlokła znacznie dłużej, prawdopodobnie przez okres życia dwóch generacji (około 60 lat)".

Wewnętrzny dług Niemiec

Nie jest to jednak jedyna trudność w rekonstrukcji Niemiec. Wstępnym krokiem do wszczęcia akcji odbudowy musi być uregulowanie zagadnień finansowych i kwestii długu zaciągniętego przez rząd niemiecki w Reichsbanku. Dług ten wynosi 400 miliardów marek, procenty zaś od tej sumy około 12 miliardów marek. Osiemdziesiąt procent aktywów wszystkich banków niemieckich stanowią pożyczki dla rządu hitlerowskiego. Jeśli te długi nie będą honorowane, banki ogłoszą niewypłacalność.

Naród niemiecki musi oczywiście ponieść ciężary wynikające z okupacji kraju i spłaty odszkodowań. Konsekwencją tego będzie zużycie części dochodu narodowego na spłaty zobowiązań odszkodowawczych dla zwycięskich państw, oraz oddanie w formie urządzeń fabrycznych dużej części przemysłu. Jak wiadomo z części okupacyjnej rosyjskiej zostały już wywiezione wszystkie urządzenia fabryczne, obecnie zaś stał się aktualny problem oddania Rosjanom części urządzeń fabrycznych ze strefy okupacyjnej angielskiej i amerykańskiej. Rosjanie wysunęli żądanie oddania im najważniejszych maszyn i instalacji z tego rodzaju zakładów, jak Krupp, A. G., Farbenindustrie i Hermann Goering Werke.

Dla pokrycia tych wszystkich zobowiązań odszkodowawczych alianckа komisja kontrolna postanowiła podwyższyć podatki w Niemczech, które będą obecnie wyższe, aniżeli były za czasów rządów Hitlera.

Z kół komisji alianckiej w Niemczech zwracają uwagę, że jeśli w najbliższym okresie nie zostanie rozwiązane zagadnienie centralnej administracji, to inflacja w Niemczech stanie się nieuniknioną i problem ich ekonomicznej rekonstrukcji ulegnie dalszemu zagmatwaniu.

Kto będzie płacił?

Jeśli powstanie centralny rząd niemiecki stanie on od razu przed olbrzymim zagadnieniem spłaty zarówno odszkodowań wojennych, jak i olbrzymiego długu państwowego.

„Kto będzie płacił za pracę przy niesłychanej odbudowie Niemiec — zapytuje „Observer". — Czy rząd niemiecki, który ewentualnie powstanie, zapłaci wyrównanie właścicielom zniszczonych obiektów? Czy czterysta miliardów marek zostanie dodanych do olbrzymiego niemieckiego długu wewnętrznego? Albo czy państwo niemieckie ogłosi bankructwo i odmówi zapłaty swoich długów łącznie z odszkodowaniami za zniszczenia wojenne?

„Płać odszkodowania!" będzie przypuszczalnie wojennym okrzykiem posiadaczy nieruchomości, jak tylko zacznie funkcjonować niemieckie życie polityczne. Klasy nieposiadające będą się sprzeciwiały wypłacie odszkodowań z kieszeni zwyczajnego płatnika podatków.

„I tu jesteśmy przy największym dramacie socjalnych Niemiec, przypuszczalnie największym znanym od czasów reformacji (trzydziestoletniej wojny)".

Zagadnienia populacyjne

Ale sprawa odbudowy Niemiec i spłaty długów nie jest jedynym wielkim problemem, przed jakim stoją dziś Niemcy. Równie katastrofalnie wygląda niemiecki problem populacyjny.

„Zgodnie z oceną podaną przez członka niemieckiej administracji w rosyjskiej strefie okupacyjnej — podaje prasa brytyjska — liczba zabitych i jeńców (wojskowych i cywilnych) w czasie wojny wynosi około siedem milionów. Wojna spowodowała drastyczne zmiany w układzie niemieckiej ludności. W niektórych prowincjach jest dwa razy więcej kobiet niż mężczyzn. W samym Berlinie stosunek mężczyzn do kobiet wynosi około 1 do 1.75. Stosunek ten zmieni się przypuszczalnie na lepsze po powrocie jeńców wojennych. Jednak bezprzykładny nadmiar kobiet będzie charakterystycznym rysem demograficznej sytuacji Niemiec.

„Wzrosła śmiertelność, a spadek liczby urodzin zdaje się być nieunikniony w najbliższej przyszłości. Jest to czysty rezultat polityki reżimu, który był tak wymagający w dziedzinie rasowej „dynamiki" Niemiec i który gloryfikował wielką rodzinę".

Zmniejszenie biologicznej siły narodu niemieckiego nastąpi również wskutek złego odżywiania się, które dziś we wszystkich strefach okupacyjnych nie posiada pełnej wartości kalorycznej. W strefie amerykańskiej np. 60% Niemców odżywia się poniżej poziomu wymaganego dla pełnego odżywiania organizmu człowieka pracującego.

Grozę sytuacji potęguje masowe przesiedlanie ludności ze Wschodu na Zachód, co powoduje pogorszenie się i tak złych warunków higienicznych i stwarza niebezpieczeństwo epidemii na wielką skalę.

Nie poprawi populacyjnej sytuacji Niemiec fakt, że przez długi okres czasu nie miasto, lecz wieś będzie ośrodkiem życia niemieckiego. Jest to bowiem wieś przeludniona ludźmi z miast szukającymi tu schronienia i przesiedleńcami z innych prowincji Rzeszy.

Powyższe pesymistyczne horoskopy, dotyczące zagadnień populacyjnych Niemiec, znachodzą również potwierdzenie i z innych źródeł. Niedawno ogłoszono wynik badań demograficznych, przeprowadzonych przez Princeton Universite w St. Zjednoczonych. W wyniku tych badań stwierdzono, że żaden naród zachodnio-europejski sam nie będzie posiadał tej siły populacyjnej, jaką miały dotychczas mocarstwa europejskie. Jedynymi biologicznie potencjalnymi narodami będą Rosja i częściowo St. Zjednoczone. W roku 1970 Związek Sowiecki będzie miał więcej ludzi w wieku poborowym, aniżeli razem Zjednoczone Królestwo Brytyjskie, Francja, Niemcy, Włochy, Polska, Rumunia i Hiszpania. Spadek cyfry urodzeń w krajach zachodnio-europejskich a także i w St. Zjednoczonych będzie wynikiem nie tylko socjalnych następstw wojny, ale w głównym stopniu narmalną konsekwencją uprzemysłowienia tych krajów i osiedlenia się ludności w miastach. Rosja natomiast, jako kraj rolniczy, posiadać będzie w dalszym ciągu największą siłę rozrodczą.

Należy przypomnieć, że podobna publikacja, wydana została jeszcze przed wojną światową w St. Zjednoczonych z inicjatywy genewskiej Ligi Narodów i że autorzy tej publikacji doszli do tego samego wniosku co specjaliści z Princeton Universite.

Trudno powstrzymać się tutaj od wniosków, które niemal automatycznie nasuwają się przy analizie powyższych cyfr statystycznych i uwag amerykańskich specjalistów od demografii. Przede wszystkim staje się jasne, że wyrównanie potencjału biologicznego między wszystkimi krajami kultury zachodnio-europejskiej i wysoko uprzemysłowionymi zmniejsza istniejące dotychczas między niektórymi spośród tych narodów wielkie napięcia dynamiczne, wyrażające się w głodzie przestrzeni. Można zaryzykować tutaj twierdzenie, że fakt ten stanowi poważny czynnik w usiłowaniach scalenia świata zachodnio-europejskiego. Te cyfry stają się dla całej Europy alarmowym sygnałem nawołującym do wspólnego wysiłku nad zabezpieczeniem pokoju i odbudową zniszczonych ośrodków kultury europejskiej. Cyfry statystyk demograficznych i wnioski z nich wypływające jeśli przemawiają za powstaniem jakichś bloków narodów, to tylko dwóch: bloku ludności o małej cyfrze przyrostu ludności i olbrzymiego bloku eurazjatyckiego o rosnącej cyfrze przyrostu.

Ale w takim podziale świata kryje się olbrzymie niebezpieczeństwo, bo blok eurazjatycki o wielkiej żywotności biologicznej musi prędzej czy później eksplodować na zewnątrz, szukając nowych przestrzeni i nowych materialnych środków do życia. Skutkom tego rodzaju eksplozji może zapobiec tylko zorganizowanie świata powojennego na zasadach jedności i wzajemnej przenikliwości takich czy innych zespołów państw. Obowiązywać musi jeden styl życia, pozbawiony prymitywnej nienawiści i żądzy zdobycia lepszych warunków życia przez narody o dużej prężności biologicznej i niskiej stopie życiowej.

Plany podziału świata na drobniejsze zespoły państw o niskim przyroście ludności mogą jedynie wypływać z nieświadomości skali i kierunku zjawisk demograficznych.

Niemcy przedmiotem polityki międzynarodowej

Wracając do spraw niemieckich należy zwrócić uwagę jeszcze i na przemiany w układzie ekonomicznym i socjalnym Rzeszy, jakie niewątpliwie wynikną w następstwie zmiany granic, osłabienia roli Prus i zniszczenia dużej własności ziemskiej. Niemcy ze zmniejszonym przemysłem, ze zniszczonymi miastami i z osłabionym co najmniej, jeśli nie całkowicie zniszczonym junkierstwem, staną się krajem o średniej własności, który ewentualny nadmiar ludności będzie musiał lokować poza granicami kraju, lub poprowadzić politykę populacyjną odwrotną do polityki reżymu hitlerowskiego „wielkiej rodziny".

Nie należy również zapominać o moralnych następstwach przegranej wojny i załamania się systemu, który pchnął naród niemiecki na drogę zdrady cywilizacji zachodnio-europejskiej, złamania zasad prawa międzynarodowego i zwyrodnienia usymbolizowanego w niemieckich obozach koncentracyjnych i w całym systemie nazistowskim oraz w teorii rasizmu. Wszystko to dziś, w miarę ujawniania się następstw klęski, musi się zwrócić przeciwko samemu narodowi niemieckiemu.

W tym stanie rzeczy należy dojść do wniosku, że Niemcy nie mają dziś widoków na szybką i samodzielną odbudowę swego życia ekonomicznego i politycznego. Odrodzenie Niemiec po tej wojnie może nastąpić jedynie przy pomocy z zewnątrz. Może się to stać albo przy pomocy Zachodu albo przy pomocy Rosji. Niemcy stały się przedmiotem polityki międzynarodowej, o nie toczy się między innymi rozgrywka pomiędzy trzema wielkimi mocarstwami. Rola samych Niemiec w tym całym procesie jest uzależniona od tego, czy potrafią one zdobyć się na wielki wysiłek moralny i potępić swoje odstępstwo od kultury zachodnio-europejskiej i z powrotem do tej kultury powrócić. Powrócić i wyciągnąć z tego faktu wszystkie konsekwencje.

Z POLSKIEJ GRAFIKI

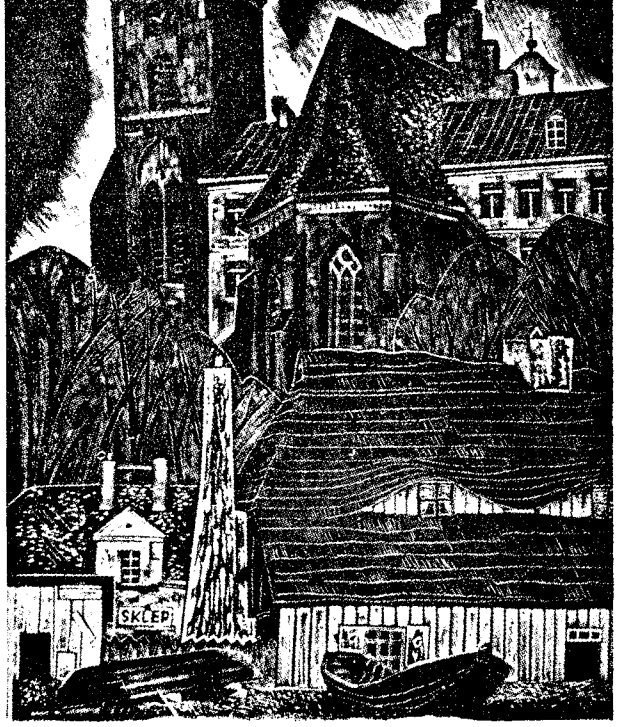

T. Cieślewski — Kościół św. Marii w Warszawie

S. P.

MARIAN WASILEWSKI

Major Inż.

ur. 6. VIII 1906 w Miechowie.

Dowódca 13 Komp. Warsztatowej zginął tragiczną śmiercią w wypadku samochodowym w dniu 27 września 1945 r. o czym zawiadamia pogrążona w głębokim żalu

Rodzina

W PRASIE OBCEJ O ARMII CZERWONEJ

Chmura szarańczy

Prasa brytyjska wszelkich odcieni politycznych, coraz częściej zamieszcza opisy szczególnych poczynań protektorów naszych rodzimych czerwonych quislingów. Zacytujemy głos spokojnego i bezstronnego „Obserwera" (z 7. ub. m.), który zamieszcza korespondencję własną z Berlina. Opis zachowania się armii czerwonej jest podany przez pismo angielskie pt. „Chmura szarańczy".

„Rosjanie wtargnęli do Niemiec jak chmura głodnej szarańczy. Weszli również z tę myślą, że odbiorą to wszystko, co Niemcy złupili w Rosji. Ponadto faktem jest, że szafa z bielizną i ubraniem przeciętnego Niemca robiła na żołnierzu rosyjskim wrażenie orientalnego skarbca".

„Rosyjski przemysł odzieżowy i obuwia nigdy nie był w stanie wyprodukować dosyć dla nasycenia potrzeb ludności. W Rosji przedwojennej produkcja roczna butów sięgała pięciu czy sześciu milionów par przy ludności stopięćdziesięciomilionowej".

„W ramach planu pięcioletniego ciężki przemysł metalowy i zbrojeniowy rozwijał się kosztem przemysłu dla celów konsumpcyjnych i potrzeby konsumenta nigdy nie były zaspokojone".

Oddźwięki polityczne zachowania się armii czerwonej

„Jest rzeczą niewątpliwą, że zachowanie się żołnierzy rosyjskich wywrze znaczny i daleko sięgający wpływ polityczny na Niemcy".

„Przyjmuje się powszechnie, według zgodnej opinii politycznych obserwatorów, że wpływ komunizmu przynajmniej w sowieckiej strefie okupacyjnej nigdy jeszcze tak nisko nie upadł. Robotnicze dzielnice Berlina, Wedding i Neukoelln, zawsze twierdze komunizmu za czasów republiki Wejmarskiej i skomunizowane jeszcze do niedawna ucierpiały od rosyjskiego rabunku i gwałtów tak samo jak West End (obok Charlottenburga najzamożniejsza dzielnica Berlina, przyp. Red. O.B.)."

„Komunistycznie nastawiona robotnicza ludność Berlina zaczyna przechodzić coś w rodzaju duchowego kryzysu."

Korespondent podaje wprawdzie przykład jakiegoś robotnika niemieckiego, który został wierny sympatiom dla komunizmu mimo, że pijani żołnierze rosyjscy zgwałcili mu żonę i zrabowali mieszkanie (whose wife has fallen victim to the violence of drunken Russian soldiers, and whose house has been ravaged by them), stwierdza jednak, że podobne zachowanie jest raczej wyjątkowe — nazywa ją zresztą sam nadludzkim — natomiast powszechny nastrój jest taki, że:

„warstwy pracujące Berlina wydają się być rozczarowane i zawiedzione po ich doświadczeniach i stosunkach z czerwoną armią."

W prasie londyńskiej o Polsce

Niezależny tygodnik londyński „Whitehall News" podaje w nrze z 26 ub. m. następujące wiadomości o sytuacji w Polsce:

„Według bezstronnych informacji położenie gospodarcze w Polsce jest tak samo niezadawalające, jak i polityczne. Pod tym względem zwiększenie garnizonów sowieckich pociąga za sobą nie tylko komplikacje polityczne, ale stwarza nowe gospodarcze obciążenie dla zniszczonego wojną kraju."

„Poniższe dane liczbowe zostały nadesłane przez administrację warszawską na ostatnią konferencję UNRY w Nowym Jorku. Świadczą one, jak krytyczną jest sytuacja. Prawie piętnaście milionów Polaków nie posiada obuwia. Prawie 10% ludności ma gruźlicę, a wśród słuchaczy uniwersytetu krakowskiego odsetek ten wzrasta do 35. Aby zastąpić przynajmniej 5% strat, wyrządzonych przez wojnę polskiemu rolnictwu potrzeba 280.000 koni, 180.000 sztuk bydła, 190.000 świń, 135.000 owiec."

Należy przypuszczać, że wspomniany raport administracji warszawskiej nie wyszczególnia jakie liczby określają ilość koni, bydła i nierogacizny, wywiezionej na wschód przez „bohaterską armię czerwoną niosącą wyzwolenie od polskiej reakcji uciemiężonym warstwom narodu."

„Szczególnie krytyczne są warunki sanitarne i zdrowotne. Według informacji udzielonych ostatnio przez Dr. J. G. Johnstone, technicznego doradcę UNNRY w sprawach pomocy lekarskiej, niewielka ilość szpitali niezniszczonych przez wojnę nie posiada żadnych środków i lekarstw i wobec tego może być wykorzystana tylko w połowie swoich możliwości. Chorzy leżą na siennikach, bez prześcieradeł, chyba, że przynieśli własne. Niebezpiecznie chorzy są przewożeni do szpitala na wozach nawet z dalekа, ponieważ zupełnie brak sanitarek. Mężczyźni i kobiety leżą na tych samych salach tak samo jak chorzy na choroby zakaźne są umieszczeni z innymi chorymi. Brak narzędzi chirurgicznych nawet dla drobniejszych operacji. Według korespondenta Associated Press, z 13.000 lekarzy z okresu przedwojennego pozostało obecnie w Polsce zaledwie 6.000. 70% szpitali i klinik zostało zniszczonych; pisząc o braku narzędzi lekarskich i wyposażenia szpitali korespondent stwierdza, że w Lublinie np. jest tylko jedna lampa kwarcowa; najbliższa znajduje się o przeszło 500 kilometrów w Wilnie, po drugiej stronie linii Curzona."

„W tych warunkach szczególne wrażenie wywiera informacja jaka została udzielona prasie przez członka kongresu amerykańskiego Gordona, który ostatnio odwiedził Polskę. Informacja dotyczyła losu dostaw, nadsyłanych do Polski przez UNRE. Według Gordona, znaczna część tych dostaw została przejęta przez Rosjan i w większości wypadków rozsprzedano je na czarnym rynku po fantastycznych cenach. Rozkradanie dostaw żywnościowych rozpoczyna się już w rumuńskim porcie Konstancy, gdzie się je wyładowuje i tylko niewielkie ilości docierają do miejsc przeznaczenia."

ST. WŁODARZ

UWAGI

Należę do pokolenia, które uprawia turystykę już po raz drugi. Przed kilku dniami spotkałem przyjaciela, z którym ostatni raz widziałem się 15 września 1939 w Łunińcu. Jest to człowiek stateczny, osiadły, wrośnięty w ziemię, z której pochodzi. A pochodzi z Polesia. Rodzina jego od czterech stuleci tylko bardzo niechętnie opuszczała dom ojczysty. Szczycili się tym, że żadne pokusy szerokiego świata i żadne burze dziejowe nie zdołały ich wyrwać z gruntu, tak, zdawa oby się, mocno w nim tkwili.

On sam, z wykształcenia prawnik, z powołania botanik i hodowca, latami nie ruszał się za granicę powiatu, miesiącami za granicę ogrodu i sadu. Przyjaźń nasza datuje się oddawna. Zetknęliśmy się latem 1928 roku, w czasie wojny. Wśród uzupełnień nadesłanych nam z Krakowa przez kadrę przybył właśnie ów botanik poleski. Dosyć okrężną drogą, zwłaszcza, jak na urodzonego domatora. Dzieje jego były nad wyraz proste. Jako rezerwista któregoś tam pułku rosyjskiego znalazł się po rewolucji 17 roku w okolicach Moskwy. Nie mogąc wracać przez linie frontów i tereny objęte wojną domową ruszył na Polesie via Syberia, Japonia, Indie, Anglia, Francja — i z armią gen. Hallera znalazł się w roku 1920 w kraju. Niestety, zanim zdążył na Polesie, buszował tam już Budienny...

Nie piszę tutaj historii. Dalszy rozwój wypadków jest znany. W roku 1921 zdemobilizował się i wrócił do domu. Ściśle mówiąc nie do domu, bo z domu nie pozostało nawet śladu, ale do ogrodu... Jako miłośnikowi roślin było mu nawet do twarzy w takim na pół szałasie na pół szopie, wśród szumiącego ogrodu.

Odwiedzałem go kilka razy w tym krótkim dwudziestoleciu między dwoma pożogami. W parę lat po roku 1920 postawił dom. W parę następnych zdołał się takoż urządzić, a nawet — zrównoważyć budżet. O wyjeździe do płochej Warszawy, o pokusach wielkomiejskich, nie mówiąc już o podróży za granicę nie chciał nawet słyszeć. Kopał rowy i usiłował zdrenować jakiej pólko. Gdyby Rodziewiczówna nie była napisała już paru tuzinów takich powieści, może ją napisałbym powieść o nim, chociaż ten typ pojmowania obowiązków obywatelskich był mi w tamtych czasach raczej obcy. Ale było coś naprawdę sugestywnego w tym zapamiętaniu.

Znacznie później, na parę tygodni przed wrześniem 1939, znalazłem się na Litwie. Poznałem tam wiele domów, wiele rodzin tego samego typu. (Wśród nich siostrę Melchiora Wańkowicza — co się też z nią teraz dzieje?). Wówczas już nieco inaczej patrzyłem na ten kresowy upór. W domu pp. Jańczewskich) — gdzieś w okolicy Kowna — w domu wielokrotnie palonym i stale odbudowywanym — wspomniałem mego przyjaciela botanika-domatora. Jestem na tyle marksistą, by uznawać, że dzieje kształtują typ człowieka, ale nie na tyle, by nie dostrzegać, że również człowiek — właśnie typ człowieka, — kształtuje dzieje. Dzieje tamtych ziem od Polągi po Kamieniec Podolski kształtował, a przynajmniej współkształtował właśnie taki typ człowieka, jak mój przyjaciel-domator i p. Wańkowiczówna.*

Co też stało się z moim botanikiem? Chyba nie hoduje swoich roślinek? Gdzie go też zaniosły burzliwe losy naszego pokolenia? Często zadawałem sobie to pytanie w latach wojny.

Jaques Bainville w książce swojej p.t. „Les conséquences politiques de la paix", pisanej w czasie poprzedniej wojny światowej a wydanej w okresie konferencji wersalskiej, określa Niemców jako naród skory do wędrówek. „Ein wanderlustiges Volk" — w ten sposób oddaje wyrażenie Bainville'a tłumacz niemiecki jego książki. W tej właściwości narodowego charakteru Niemców dopatruje się Bainville jednej z pobudek ich podbojów.

Nie mam zaufania do efektownych uogólnień. Nie tylko Niemcy dokonywali podbojów. Francuzi, których zwykliśmy uważać za domatorów — za takich uważa ich także Bainville — byli na przełomie XVIII i XIX stulecia postrachem Europy. Także całkowicie ostatnio rozbrojeni Duńczycy napsuli kiedyś sporo swych sąsiadów Szwedów i Norwegów. O tym, że, jakże pokojowi dzisiaj Szwedzi, stanowili kiedyś również „ein wanderlustiges Volk" w bainville'owskim znaczeniu tego wyrazu, wiemy zarówno my, jak Niemcy, czy Rosja. Ba, nawet Szwajcarowie, jak mówiło się dawniej, właśnie za tamtych czasów byli synonimem wojsk najemnych, traktujących wojnę jako wędrowne rzemiosło.

Nie wiem, czy Dżingis-chanem kierowała gorączka turystyczna, podobnie jak nie przypuszczam, by Stalin dla celów turystycznych poszukiwał punktów oparcia w Dardanelach, na wybrzeżach Afryki i w błotach pińskich. Jedno wszakże wydaje mi się niewątpliwe; mój botanik-domator ruszą w podróż, a do tego w podróż z bronią w ręku, jedynie pod naporem nieodpartej konieczności. Cel tych wypraw zaś, chociażby one prowadziły — jak niegdyś — na San Domingo, do Egiptu, czy na pola bitew amerykańskich, czy — jak obecnie — przez Persję, na wybrzeża północnej Afryki, do Norwegii, — czy jeszcze gdziekolwiek indziej — był i jest zawsze ten sam. Nigdy nie leżał on, ani nie leży ani na innych kontynentach, ani na cudzych ziemiach.

Przebywając czas jakiś w Niemczech i kwaterując w rozmaitych budynkach szkolnych (tak się składało) miałem możność poznania ściennych map, służących do nauczania geografii w szkołach niemieckich. Otóż, na wszystkich tych mapach, wydanych w okresie po pierwszej wojnie światowej, a więc, w czasach, gdy Niemcy nie posiadały żadnych kolonii, dawne ich terytoria w Afryce i Azji oznaczone były kolorem przyjętym przez kartografa dla oznaczenia Rzeszy. Oceniając energię potencjalną, tkwiącą w takim nauczaniu geografii, zgodzić się musimy, że przenosi ona metę marzeń turystycznych (że pozostaniemy przy tym wyrażeniu), daleko od terytorium plemiennego. U nas całkiem inaczej. Metą naszej przymusowej turystyki (z jedynym wyjątkiem madagaskarskim Beniowskiego) był i jest Kraj. Czy to jest źle, czy dobrze z punktu widzenia polityki międzynarodowej, nie podjąłbym się odpowiedzieć. Ale tak jest. Wszyscy w głębi naszej natury jesteśmy potrosze jak mój przyjaciel z Polesia; marzy się nam kawałek ziemi, dom i szumiący wkoło ogród... Czy to jest źle, czy dobrze, nie umiałbym odpowiedzieć. Może raczej źle. Jest to bowiem stary, przebrzmiały styl życie. Ale tylko w nim odnajdujemy siebie, jesteśmy sobą do głębi naszej istoty.

W latach przymusowego koczownictwa, w latach, w których najpierw ginęło zwolna, a potem za jednym zamachem zginęło wszystko, co posiadałem — myślałem często o moim Poleszuku-domatorze. Nigdy nie byłem szczególnie przywiązany do tak zwanych dóbr materialnych i zawsze lubiłem włóczęgę. Ale on...

Wreszcie spotkałem go. Wszystkie drogi, jak wiadomo, prowadzą do Rzymu. Zwłaszcza wszystkie polskie drogi... Spotkaliśmy się zatem, co jest oczywiste, w Korpusie. Na plaży adriatyckiej, w malowniczej osadzie, w cieniu palm. Dzieje jego są proste, typowe, rzec by można, dla polskiego domatora. Przez Rosję, Persję i t.d., drogą nieco krótszą w przestrzeni niż przed 24 laty, zato znacznie wydłużoną w czasie, podążał — na Polesie... Na razie był w Iraku, Egipcie, północnej Afryce, teraz wypoczywa we Włoszech. Nasz domator, który nie chciał ruszyć się poza granice powiatu, a do Krzemieńca dał mi się zabrać tylko raz. Przez kult dla Słonackiego. Bo — zapomniałem o tym wspomnieć — po pracy nad odwadnianiem ogrodu, prócz dzieł, traktujących o systematyce roślin, lubił czytywać jego wiersze.

I, oto, siedzimy naprzeciw siebie. Ja, jak powiedziałem, włóczęga trochę i on — domator. On w sześć lat obiechał trzy kontynenty, ja, chociaż także nieco zygzakowatą drogą, ale ani trochę tak efektowną jak jego — przybyłem z Kraju. Któż z nas ma więcej do opowiadania? Otóż — okazuje się — że ja. Odsuwając więc wielkopańskim gestem dziwy i wspaniałości Bagdadu i Rzymu mówimy — o łuninieckim powiecie. Był tam w bobryckim lesie rewir jeden...

*) ..... Wywiedli Jańczewskiego: — poznałem: oszpetniał, Szczerniał, schudł, ale jakoś dziwnie wyszlachetniał..."

Fot. K. Hrynkiewicz

Gen. W. Anders w laboratorium Referatu Fotograficznego Oddziału Kultury i Prasy 2. Korpusu

ON MIRANDOLINA

W teatrze dramatycznym 2. Korpusu

Przez półtora roku mp. Redakcji „Orła Białego" i mp. Teatru Dramatycznego nie zeszły się w jednym punkcie na mapie. Zgodnie więc z przysłowiem musiało dojść do tego, że skoro góra nie przyszła do Mahometa, Mahomet musiał przyjść do góry. Góra, o której tu mowa, nazywa się Recanati, a na jej szczycie stanął Teatr Dramatyczny 2. Korpusu. Tę pielgrzymkę do góry w roli „Mahometa" podjął się w imieniu Redakcji jej recenzent, jednak nie na sabat czarownic, jak to bywa na szczytach górskich, lecz na nową sztukę, wystawioną przez ten szacowny już zespół.

Chodzi o sztukę o tyle nową, że jedenastą z rzędu w ciągu niespełna dwóch i pół lat istnienia tego Teatru. O tyle zaś starą, że chodziło o komedię Carlo Goldoniego (ur. w Wenecji w 1707 roku — zm. w Paryżu w 1793 r.) pt. „Mirandolina" (w oryginale „La locandiera", czyli ni to oberżystka ni to gospodyni). Sztuka ta ujrzała światło ram scenicznych przed prawie dwustu laty, a dokładnie gdzieś w styczniu 1753 r.

Autor jej, Goldoni, z zawodu adwokat, w 41 roku życia porzuca palestrę i angażuje się do weneckiego teatru jako stały scenarzysta i odtąd przez następnych 40 lat pisze dwieście pięćdziesiąt sztuk, w których występuje ponad dwa tysiące postaci scenicznych. Mało kto poza nim, może Szekspir (1564—1616), a może Moliere (1622—1673) tylko wydał na świat podobnie liczne potomstwo sceniczne. Goldoni stara się na miejsce tradycyjnych widowisk improwizowanej Commedia dell'Arte wprowadzić na scenę literacką komedię charakterów. Znaleźli się jednak konkurenci, jak np. Gozzi, którego fantastyczną „Księżniczkę Turandot" również wystawił Teatr Dramatyczny z powodzeniem, o którym świadczy już 27 odbytych przedstawień i zapowiedź następnych. Konkurencja ta sprawia, że Goldoni musi emigrować do Paryża, gdzie triumfuje wśród współczesnych mu wielkich encyklopedystów i reformistów, jak Wolter (1694—1778), Diderot (1713—1784) i Russo (1712—1778). Bo też całe jego dzieło należało duchem i ciałem do tej epoki oświecenia i racjonalizmu, i tak długo znajdowało poklask, aż jego — zwiastuna nowych czasów i nowych obyczajów — zrujnowała wraz z tyłu innymi... Wielka Rewolucja Francuska.

„Mirandolina", jak i wiele innych sztuk Goldoniego, to czysty wykwit swej epoki, czyli XVIII wieku. Od pierwszych scen bije ten osobliwy, zimny blask oświeconego racjonalizmu. Cała filozofia życiowa, wywodząca się od spirytualizmu Kartezjusza (1696—1650), który głosił słynne „Myślę, więc jestem" stopionego z materializmem w stylu de la Metrie (1709-1751), autora „Człowieka-maszyny" (1748), znajduje tu swe literackie i sceniczne wcielenie. Autor bowiem w tworzeniu sztuki teatralnej ujawnił tę mocną wiarę ówczesnych ludzi w rozumną, a zarazem mechaniczną w swej istocie, budowę duszy ludzkiej, którą można — ich zdaniem — jak skomplikowany zegarek nie tylko rozbierać na poszczególne kółeczka, ale także składać w rozmaite całości i pobudzać do działania w oznaczonym przez siebie kierunku.

Cóż bowiem jest zawiązkiem omawianej komedii Goldoniego? Mirandolina, młoda kobieta, czarowuje całe swe otoczenie i wszystkich pensjonariuszy swego zajazdu. Postanawia więc rozkochać w sobie również i tego gburowatego szlachcica, Pana Kawalera, który swą szorstkością, lekceważeniem i obojętnością na wdzięki i zalety kobiece obraża jej świadomą swych wart ści dumę. I to zadanie z zegarmistrzowską precyzją udaje się jej — przy pomocy talentów autora — dokonać z pewną dozą prawdopodobieństwa w rekordowym czasie jednego dnia, 12 zaledwie godzin trwania akcji, a dla nas — widzów — w ciągu zaledwie trzech godzin trwającego przedstawienia.

Jest to więc niejako komedia o metodzie, czy sztuce uwodzenia, ale nie rzekomo słabych kobiet przez „wszechpotężnych" mężczyzn, lecz powiedzmy odwrotnie: „100%" mężczyzny przez naprawdę 100% dzielną, czarującą i wcale przez to nie słabszą kobietę. Jest to więc walka między przedstawicielem sprzecznego z naturą misoginizmu (nienawiści do kobiet), a zwiastunka... sufrażyzmu (równouprawnienia kobiet). Takiego tła społecznego i moralizatorskiego można się w tej sztuce dopatrzeć.

O „Mirandolinie" się mówi, że jest komedią charakterów. Dokładnie jednak — poza postacią głównej bohaterki i jej kontrpartnera — należałoby mówić, że jest to tylko komedia cech charakteru. Bo z ręką na sercu trzeba wyznać, że tylko w głównej bohaterce sztuki wyczuwa się więcej, aniżeli naprawdę widzi, jakąś osobowość. Reszta postaci, to są wycinanki ludzkie, żywe kukiełki, napędzane zaledwie sprężynką jakiejś jednej cechy charakteru. Więc bądź przez konwencjonalną miłość, oddanie czy zazdrość — Fabrycego, bądź skąpstwo i samochwalstwo — Markiza, bądź próżność dorobkiewicza — Hrabiego, bądź pustotę i szczerość aktorek, bądź wreszcie cielęcą głupkowatość służącego.

Ten uproszczony i czysto rozumowy stosunek autora do postaci stwarza doskonałą atmosferę dla komizmu. Zgodnie bowiem z teorią filozofa Henryka Bergsona (1859—1943) wszelkie głębsze uczucie przeszkadza budzeniu śmiechu. Tych przeszkód jest u Goldoniego minimum. Niemniej oddziaływanie jego sztuki odbywa się raczej za sprawą zręcznego i delikatnego wątku samej akcji, niż przy pomocy bezpośrednich dowcipów. Jest to więc w swym założeniu sztuka raczej pogodna, niż rozśmieszająca. Ale wzbudzenie tej pogody wymaga nie tylko wysokiej klasy gry „kameralnej", doskonałego literacko przekładu, ale także i odpowiedniej kultury artystycznej u widza.

Toteż, jeśli nie ma tych warunków po obu stronach rampy scenicznej, jeśli na scenie nie da się uwydatnić należycie przez tekst i grę tej subtelnej tkanki działań i oddziaływań, dyktowanych bardziej przez rozum lub jego brak, aniżeli przez serce, to wówczas ulata z tej sztuki Goldoniego właściwy jej powab i zostaje dość puste, choć zabawne i nie pozbawione jaskrawego morału... widowisko kukiełkowe.

Nasycić je na tyle życiem, ruchem, barwą, dźwiękiem i zabawą, aby uderzało wyobraźnię i zainteresowało, jeśli już nie potrafi wzruszyć — to zadanie, które spada na świadomego wszystkich nowoczesnych środków teatralnych reżysera, wystawiającego „Mirandolinę". Tego też zadania podjął się reżyser Teatru Dramatycznego, dając jeszcze raz dowody swego wysokiego kunsztu.

Afisz „Mirandoliny" mówi o „opracowaniu scenicznym" sztuki przez Wacława Radulskiego. I naprawdę, jeśli się porówna jego widowisko z oryginalnym tekstem włoskim, musi się dojść do przekonania, że jego jest nie tylko reżyseria, ale, że dokonał on czegoś więcej, stworzył jakgdyby „polską wersję" tej komedii Goldoniego. O ile w sprawach raczej drugorzędnych Fredro wzorował się na Goldonim, to w sprawach dość zasadniczych Radulski starał się Goldoniego zbliżyć do Fredry.

Polski inscenizator poszedł więc w kierunku uproszczenia tłumaczonego tekstu, uplastycznienia sytuacji, nie tylko przez dosadniejszą formę słowną tyrad czy kwestii, ale i przez zwrócenie większej uwagi na drugoplanowe postacie komiczne, przez ostrzejsze ich naświetlenie, uwydatnienie szczegółów, podkreślenie kostiumem sylwetek. Krótko mówiąc — przez wydobycie nie tyle komediowego, co raczej trochę groteskowego tonu z gry aktorskiej i nasycenie akcji jeśli nie dowcipami słownymi, to przynajmniej „gierkami" aktorów i tzw. gagami, czyli śmiesznymi sytuacjami, pomysłami, reakcjami.

Wyrazem tej wzmożonej niejako w stosunku do oryginału jaskrawości jest też i „na wykrzyku" — jak mówią aktorzy — prowadzony dialog, i żywe tempo gry i siła „napięć dynamicznych" — jak mówił St. I. Witkiewicz (Witkacy) w swojej teorii teatru — w scenach zbiorowych. Wszystko to jednak dokonane jest bez osiągnięcia tej uczuciowej soczystości, czy mięsistości — jeśli się wolno tak wyrazić — tak charakterystycznej dla Fredry. Nic więc dziwnego, bo, gdy chodzi o Fredrę, ma się do czynienia nie jak u Goldoniego z przedstawicielem narodu łacińskiego, lecz słowiańskiego, i nie z przedstawicielem racjonalistycznego XVIII wieku, lecz z rzecznikiem romantyzmu XIX wieku.

W wyniku więc — z zetknięcia się z tą „polską wersją" „Mirandoliny", nie zakosztowawszy w niej naprawdę i w pełni uroków Goldoniego—nauczyć się możemy tylko, jak jeszcze bardziej kochać Fredrę. Gdyby poza rozrywką każdy z nas tylko to wyniósł z tego przedstawienia, zapoznanie się z utworem wybitnego reprezentanta teatru włoskiego okazałoby się wcale pożyteczne.

■

Jako osiągnięcie zespołu Teatru Dramatycznego 2. Korpusu premiera „Mirandoliny" była przede wszystkim sukcesem pracy reżyserskiej Wacława Radulskiego, konsekwentnej w założeniu, choć nie bez pewnych odchyleń w interpretacji poszczególnych aktorów. Dostosowane do ogólnej koncepcji stylizowane kostiumy i syntetyczne dekoracje, uproszczone i ściśle związane z wymaganiami akcji, zaprojektował art. mal. Zygmunt Turkiewicz, wydobywając pewien wdzięk raczej zeszczegółów (kogucik, lampa, dobranie krzeseł itd.), niż z ogólnych zarysów tła.

Rolę główną, tytułową, wzięła na siebie p. Irena Brzezińska, młoda aktorka, przybyła niedawno do Korpusu. Dała ona w swej grze nie tyle postać czarującej gospodyni o mocnej indywidualności, ile raczej żywej gosposi, dworującej ze swego otoczenia i sprytem raczej, niż siłą swej osobowości, stwarzającej dystans między sobą i otaczającymi ją wielbicielami. Swoboda i bezpośredniość przy utrzymaniu jednolitego stylu gry, jest niewątpliwie jej zasługą, godną szczególnego uznania.

Druga pod względem ważności postać sceniczna Kawalera di Ripafratta, w wykonaniu Zbigniewa Szczerba-Blichewicza, wypadła również poprawnie, choć posiadała już mniej cech stylizacji. Z prostym realizmem dał on szkic zadufanego w sobie pyszałka, pogardzającego kobietami, ale dość łatwo dającego się uwikłać w sidła zręcznego — trzeba przyznać — kunsztu uwodzenia. Wystarczyło bowiem nieco cholebstw, grania na próżności męskiej, pozornej pokory, dogadzania gustom kulinarnym, wykorzystania rzeczywistej naiwności, ukrytej za pozorami ostrożności, aby z przechwałek nie zostało nic, a z oschłego pyszałka zrobił się upokorzony amant.

Gros komizmu spoczęło na barkach Markiza di Forlipopoli oraz Hrabiego d'Albafiorita. Zwłaszcza sylwetka Markiza wysunęła się na czoło widowiska, dzięki świetnej interpretacji Karola Dorwskiego, który grał nie tylko mimiką, ale i barwą głosu, akcentowaniem, ułomnościami ruchów tabetycznych, gierkami, wyzyskaniem każdej sytuacji, w jakiej znajdował się ten stary i cherlawy skąpiec, wciąż jeszcze w pretensjach lowelasa. Za swój wystudiowany komizm zbierał on wraz z reżyserem zasłużone oklaski, przy otwartej kurtynie w trzecim akcie, podczas przezabawnej sceny z koszem od bielizny. Kontrastową parę do niego tuszą i rozrzutnością stanowił nowobogacki Hrabia z kupionym tytułem w pełnym swady, lekko karykaturyzowanym wykonaniu Adolfa Bożyńskiego.

Z ról bardziej epizodycznych na pierwszym miejscu wypada wymienić postacie dwóch aktorek, Hortensji, udającej baronową i Dejaniry, udającej hrabinę. Pierwsza — Wanda Baczyńska — łączyła grację z szelmostwem, druga — Janina Jakubówna — szczerość z komicznymi gierkami. Tu wyraźnie warunki naturalne przeważyły nad zamierzeniami autora, który chciał wdziękowi Mirandoliny przeciwstawić wulgarność dwóch „dam-aktorek".

Fabrycy — partner Mirandoliny, jako kandydat na jej męża — jest zaledwie szkicem na rolę amanta. Wcielił się tu w Zbyszka Koraba o miłej, młodzieńczej powierzchowności i dużej zręczności ruchów. Zabawną postać służącego Kawalera dał Feliks Karpowicz, dobrze ucharakteryzowany na chłopka-rudzielca o komicznej mimice, ale nie zawsze umiejący obronić się przed pokusą szarżowania w grze.

Widownia na premierze, rekrutująca się z okolicznych oddziałów, nie ograniczała swej reakcji do licznych objawów wesołości i oklasków, ale również kilkakrotnie interweniowała głośno, dodając otuchy Kawalerowi okrzykami: „Trzymaj się, nie daj się". Jak wiemy — napróżno.

PREMIERA W TEATRZE DRAMATYCZNYM 2. KORPUSU

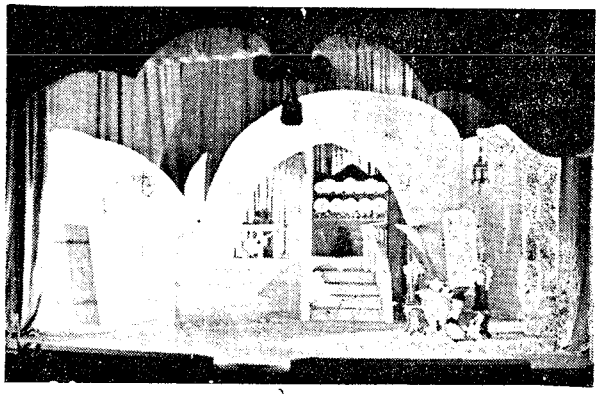

Widok z loży na dekoracje do „Mirandoliny" Goldoniego pomysłu Z. Turkiewicza.

Poszukiwania rodzin

Guzowski Zygmunt, Departament Morski, Delegatura w Londynie, 47, Portland Place, London, W. 1. poszukuje Bonawentury Wojciechowskiego syna Aleksandra ur. 1907, w roku 1939 Oddział Zapasowy 16 Pomorskiej Dywizji Piechoty, 2 Kompania.

Radel Stanisław Paryż 17 e. 47 rue Cardinet, Polish YMCA poszukuje Witoldą Czerwińskiego, administratora ZUS u z Gdyni i Warszawy, uczestnika powstania warszawskiego.

Popopicz Emilia z Sarn (Wołyń), obecnie Grafenaschau koło Murnau (Bawaria), Ośrodek Polski barak K. 3. — 30, poszukuje brata Mrozińskiego Kazimierza z kolonii Czajków powiat Sarny.

Szulc Władysław z Łodzi, obecnie Grafenaschau koło Murnau (Bawaria), Ośrodek Polski barak K. 3. — 30, poszukuje brata Szulca Wacława, Łódź ul. Magistracka 1.

Jan Werner, syn Jana i Janiny z Grzonkowskich, urodzony w Warszawie, lat 20-21, zamieszkały w majątku Rękoraj, Piotrkowskie, poszukiwany przez Hannę Franaszek Rzym, Bon Compagna 18, Relief Service.

Sap. Murawski Leon, Polish Forces C.M.F. 599 poszukuje Murawski Pawła, 1913 r., z Pomorza.

Kisiała Józef P/W ME 143 prosi kolegów ze Skoczowic o nawiązanie korespondencji.

Kurzeja Helena — Polish Refuese Camp Valirade (Kolhapur) Indie, prosi o informacje o mężu swoim ppor. 50 p. p. (Kowel) Kurzej Tadeuszu — ostatnią wiadomość — marzec 1940 — Kozielsk.

Kraska Stanisław — Polish Forces C.M.F. 680 poszukuje Kowalskiego Bronisława z Zawiercia b. funkc. policji.

Drewa Brunon — Polish Forces C.M.F. 680 — poszukuje brata Franciszka z Krzeszowa, pow. Kurtuzy.

Nowe książki

Nasze granice w Monte Cassino — Antologia walki — oprac. Jan Bielatowicz — Rzym 1945 — cena za egz 65 lirów.

Gody Życia — Adolf Dygasiński — cena za egz. 50 lirów.

Podręcznik do nauki języka angielskiego — w 30 lekcjach — Mgr Dominik Maciejko — Rzym, 1945 — cena za egz. 60 lirów.

Pan Tadeusz — Adam Mickiewicz — Rzym, 1945 — cena za egz. 70 lirów.

Ustrój Sowiecki — Ryszard Wraga — Rzym, 1945 — cena za egz. 60 lirów.

Życie i śmierć ghetta warszawskiego — J. Lubner — Rzym, 1945 — cena za egz. 15 lirów.

Powieści chińskie — W. Sieroszewski — Rzym, 1945 — cena za egz. 70 lirów.

Smuga cienia — Joseph Conrad — cena za egz. 70 lirów.

Od Ostrej Bramy do Osmej Armii — Tadeusz Zajączkowski — cena za egz. 60 lirów.

Polska a „kapitalistyczna interwencja" w stosunku do Z. S. R. R. 1918—1920 — Bernard Andreus — cena za egz. 40 lirów.

Polskie doświadczenia powstańcze — Zagończyk — cena za egz. 20 lirów.

Ludzie sponiewierani Herminia Naglerowa — cena za egz. 60 lirów.

Smocza 13 — Stefania Zahorska — cena za egz. 50 lirów.

Wkład Polski do 2. wojny światowej — H. Piątkowski — cena za egz. 15 lirów.

Żywi i umarli — Gustaw Herling-Grudziński — cena za egz. 40 lirów.

Opowiadanie o Szwejku — Wacław Solski — cena za egz. 80 lirów.

H. TUR

UCIEKŁEM Z

Most w Cieszynie — to granice dwu światów — kładka, po której przekroczeniu, jak zza chińskiego muru wychodzi się w inne życie.

Posterunki graniczne, odległe od siebie zaledwie o kilkadziesiąt metrów, jaskrawo dokumentują zachowaniem się, strojem, wyglądem — różnicę między narzuconym Wschodem a Zachodem. Przedstawiciele porządku „demokratycznego" w Polsce w niechlujnych mundurach, w rogatywkach osadzonych z czoła, brudnymi palcami grzebią w walizkach i torebkach.

— Papirosy? Aaa? Nie woolno!

— Proszę, niech pan zabierze.

Ręka ruchem szybkim jak drgnienie powiek wsuwa do kieszeni zdobyty łup. Chodzi o to, żeby kolega obok nie widział, inaczej trzeba się będzie podzielić.

Długo, nieufnie odczytują dokumenty.

— Nu, można iść!...

Po drugiej stronie mostu strażnicy czescy uśmiechają się i salutują. Droga wolna.

Potem, na terenie Czech, mieliśmy jeszcze wiele trudności — ale most w Cieszynie był jak Rubikon. Kości zostały rzucone.

■

Kiedy w styczniu ruszyła ostatnia ofensywa sowiecka, byłem w górach myślenickich, daleko od kolei i szos. W ciągu kilku dni Niemcy wycofali się w panice, pędzeni przez chaotyczne wojsko sowieckie, wywierające wrażenie nie armii, a band działających na własną rękę. Zobaczyłem wtedy po raz pierwszy bolszewików. Czekałem na nich z utęsknieniem, jak tysiące innych Polaków, rozumując po prostu: było nie Niemcy!

Myślenice broniły się kilka dni. Nocami łuny pożarów oświetlały niebo ze wszystkich stron. Wydawało się, że cała Polska płonie. Dom koło mnie drżał od wybuchu pocisków. Zjawiło się kilku rannych Rosjan. Pod fajakami nie mieli koszul. Za nimi przyszli inni, wtaczając na podwórze działa. Zostawiono je pod gankiem, a żołnierze rozeszli się po domu, który, jak zaczarowany, w ciągu kilku minut zamienił się w chlew. W poszukiwaniu za wódką splądrowano pokoje i piwnice. Tego samego dnia NKWD rozpoczęło śledztwo. Wszędzie odbywały się przesłuchiwania, pytano o „paniszczika", o oficerów z lasu, o przyjaciół domu. Wszystko to działo się w terenie objętym walką — na ciepło — przy akompaniamencie dział. Jasne było, że trzeba się przedostać do miasta. Ruszyliśmy więc do Krakowa piechotą, bo wszystkie konie na drogach natychmiast rekwirowano. Po obu stronach szosy rowy były zawalone trupami — przeważnie niemieckimi. Już byli poobdzierani z ubrań i zesztywnieli na mrozie w strasznych pozach nagłej śmierci. Szczątki samochodów, zezwalnie czołgi, konie rozdarte, na pół dymiące domy, dookoła których grupkami stali zatrasowani ludzie — to był obraz klęski i zwycięstwa.

Do Krakowa dowlekliśmy się nocą. Miasto było pozbawione światła, wody, szyb. Mosty zerwane. Sklepy zrabowane doszczętnie stały otworem. W ciemności snuły się pijane grupy żołnierzy sowieckich śpiewając i strzelając na wiwat. Kobiety na ich widok chowały się do bram.

Nazajutrz pokazały się na murach miasta różnobarwne plakaty. Rozpoczęła się plaga odezw, manifestów, apeli, ogłoszeń i rozkazów. Przerażeni ludzie poubierali w najgorsze łachy, żeby nie drażnić zwycięzców, wystawali przed tymi przykazaniami nowego dnia, uczęszczali trochę z ciekawości, trochę ze strachu na wiece i zebrania. Na ulicach mówiono szeptem.

Patrzyliśmy z uczuciem smutku na ten świat uwolniony od Niemców, a jednak nie wolny — mimo milicję w biało-czerwonych opaskach, mimo sztandary i wojsko w rogatywkach.

Polski orzeł, którego pozbawiono korony, z królewskiego ptaka zmienił się w zdziwioną kurę. Czerwone sztandary PPR-u wybiły się na pierwszy plan. Aż bolały oczy od tego krzyku jednej barwy, nie złagodzonej, nie uszlachetnionej bielą. Na starym rynku krakowskim stanęły wbite na palach naturalnych rozmiarów portrety Stalina, Rokossowskiego, Osóbki i innych. Te ikony Rosji prześladowały nas po całej Polsce, wisiały nad każdym mostem, zdobiły lokomotywy, samochody, bramy koszar, witryny sklepowe. Gigantyczne napisy krzyczały o chwale niezwyciężonej armii, o chwale „największego marszałka". W centrum wszystkich polskich miast stanęły pomniki wdzięczności Rosji, standartowe dzieła sztuki noworosyjskiej: drewniane piramidy ozdobione gwiazdą, pomalowane farbą olejną na kolor czerwony, pomarańczowy i cyklamenu. Te same pomniki, trochę mniejszych rozmiarów, ozdobiły groby poległych żołnierzy sowieckich, przy czym wysokość piramidy zachowano w proporcji do rangi nieboszczyka.

Obecnie gorliwsi przedstawiciele władz miejskich, rekrutujący się z PPR, zamieniają tę drewnianą architekturę na kamienną — nie zmieniając standartu dekoracji.

Hasła dnia dla uprzystępnienia ich treści, podawano w formie wierszowanej. I tak np., ponieważ promocje na oficerów następowały po trzymiesięcznym kursie, przy czym cenzus naukowy nie tylko nie był wymagany, ale przeciwnie, stanowił zasadniczą przeszkodę, by zostać oficerem — czytaliśmy na ten temat wierszyk: „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera!", albo inny, zachęcający do pracy: „Ten Hitlerowi dogodzi, kto do pracy nie chodzi!" i jeszcze: „Kto tanogo bałtajet, tot wragu pomagajet!" itp. itd.

W pierwszych tygodniach okupacji rozplakatowano w Krakowie kolorowy afisz pod tytułem: „Wymieciemy Polskę!" z dużą miotłą, wymiatająca AK-wca, Reichsdeutscha i Volksdeutscha — jednym zamaszystym ruchem. Trzeba dodać, że gorliwość w „wymiataniu" AK była dużo większa, aniżeli tych ostatnich.

Po kilku miesiącach, usilnej pracy nad czystką, władze zrozumiały, że poza AK Polaków prawie nie było i że jawna walka z całą Polską nie może mieć widoków powodzenia. Nastąpił więc zwrot o 360 stopni. Prasa, rozpisująca się poprzednio o „bandytach faszystowskich" z AK, obecnie gloryfikuje jej członków oddając „hołd" ich bohaterstwu, urządzając obchody w rocznicę powstania, uroczyste akademie i msze żałobne. Tylko taj zw. „góra" AK ponosi (teoretycznie) odpowiedzialność za swoją krętą, „reakcyjną" politykę. Praktycznie jednak aresztuje się wszystkich: „Ty aficer: Aż... Prandu skaži!"

Wszyscy, którzy nie należą do czterech dozwolonych partii: PPR-u, PPS-u Partii Ludowej, i Demokratycznej, (które wszystkie bez względu na nazwę są partią komunistyczną) są wrogami narodu tj. faszystami i stanowią tak zw. reakcję, o której się mówi: „czarna reakcja".

Jeden z moich znajomych po aresztowaniu przez NKWD uciekł z więzienia zmienił nazwisko, przeniósł się do innych stron Polski i stał się błagonadiożnym urzędnikiem. Pewnego dnia na terenie biura zjawił się osobnik, rzekomo z Urzędu Statystycznego, dla przeprowadzenia ankiety, kto do jakiej partii należy i aby zapisać na członków tych, którzy jeszcze nigdzie się nie zgłosili.

— A obywatel z jakiej partii? — zapytał z kolei mego znajomego.

— A z żadnej.

— A do której chciałby obywatel należeć?

— Do takiej jednej, której właśnie w Polsce nie ma.

Zapanowała grobowa cisza. Przerażeni kolegzy wstrzymali oddech. Wreszcie „statysta" cierpkim głosem zapytał —

— Cóż to za partia? Można wiedzieć?

— Komunistyczna!

— Ależ obywatelu, każda z tych partii jest hm... poniekąd... hm..

— Ja nie lubię „poniekąd". Ja lubię rzeczy zdecydowane! Jak zrobicie partię komunistyczną, proszę się do mnie zgłosić. Teraz szkoda gadania!

Po tej rozmowie młody dyplomata zyskał sobie popularność w całej okolicy i pewno do dzisiaj pije na koszt miejscowych obywateli najlepszy najczystszy bimber.

Bolszewicy mówią: W Polacy to jak rzodkiewka — z wierzchu czerwona, a w środku biała.

— A wy jak stajenka Betlejemska. Z wierzchu gwiazda a w środku bydło.

■

Polskie władze państwowe rekrutują się w większości z elementów obcych — Ukraińców, Białorusinów, Żydów, z karierowiczów i z elementów przestępczych. I tak np. wojewoda kieleckim jest chłop ze wsi Jasienice koło Starachowic, który w 43 r. wydał Niemcom trzech AK-owców. W obawie przed zemstą swoich kwaiczuk uciekł do partyzantki PPR, gdzie dosłużył się stopnia majora. Obecny wojewoda przybrał nazwisko Wiślicz-Kwiczuk.

Szefem Bezp. na Wirszawę jest 24-letni pułk. Sonta, przed wojną ucznia ślusarski w Radomiu — od 42 r. dowódca partyzantki PPR.

P. Minc jest rosyjskim Żydem, do którego marsz. Żukow zapominając, że ma do czynienia z ministrem „suwerennego" państwa adresuje idiotyczne pismo: Prikaz — k'min. Minc! Wszelkie komentarze są tu zbyteczne.

Nowy „poseł" polski w Pradze zna tylko dwa języki: żargon i rosyjski. Kiedyś ktoś z urzędników poselstwa, bez porozumienia z placówką sowiecką wydał wizę obywatelowi czeskiemu. W godzinę potem nastąpiło dochodzenie, kto śmiał bez pozwolenia władz sowieckich wystawić wizę. W dalszej rozmowie dyplomatów słowo „swołoć" było używane często — choć jednostronnie.

Ale w ciekawej galerii typów „Nowej Polski", nikomu chyba poza tymczasowym prezydentem i premierem nie poświęcono tyle uwagi w satyrach i piosenkach co wojewodzie poznańskiemu. Pan Widywirski, b. dr. ginekolog, obecny wojewoda, swojego czasu był skazany na karę więzienia za niedozwolone operacje.

Oto jedna z fraszek, którą pamiętam: „Zamyślił się wojewoda praca przeciężony: — Zostać wojewodą —pomysł.... poroniony!".

■

Na zebraniu dziennikarzy w Krakowie jeden z literatów określił wolność prasy w kraju:

— Ach, jak przyjemnie w tej demokratycznej Polsce! Dawniej cenzura rzadko kwestie za zbyt ostrą krytykę prez. Mościckiego, min. Becka, czy marsz. Rydza. A dzisiaj wszystko można napisać o... prez. Mościckim, min. Becku, czy marsz. Rydzu!

Można także pisać całymi tomami na temat polskiej emigracji zachodniej — jak ją określa tymczasowy wicepremier Gomółka: zgniłej reakcji sanacyjno-generowsko-oneszetowskiej i faszystowskiej". Te tematy i temat wojska polskiego na Zachodzie, wojska, które „zamiast przelewać krew swoją, ramię w ramię z żołnierzem bratniej armii czerwonej, krwawiło się, jakżeż niepotrzebnie, pod Narwikiem, pod Tobrukiem czy Monte Cassino, i teraz, okłamywane przez wrogą propagandę, nie chce wracać do kraju" — są przez redakcje pism najlepiej widziane. Idą więc

Z WYSTAWY MALARSTWA ANGIELSKIEGO

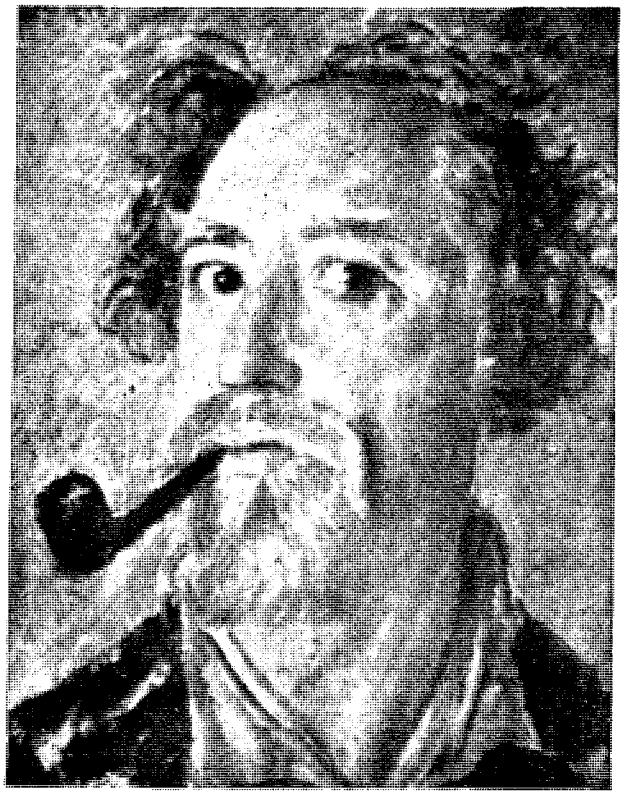

Augustyn John: Autoportret z fajką (obraz olejny)

Na marginesie wystawy malarstwa angielskiego

Malarstwo angielskie zdobywa poważną i samodzielną pozycję w dorobku plastyki europejskiej dopiero w wieku XVIII.

Twórczość Williama Hogarth'a (1697-1764), rozpoczynająca pochód świetnych portrecistów angielskich w wieku XVIII i w pierwszych dziesiątkach lat wieku XIX, jest równocześnie najtęższym i najcharakterystyczniejszym wyrazem tych elementów, które wyznaczają odrębność malarstwa angielskiego. Portret „Dziewczyny z krewetami", największe chyba dzieło Hogarth'a, wystarcza, aby zapewnić temu artyście miejsce pierwszorzędne w malarstwie europejskim, miejsce niezależne a jednak wiążące się w sposób ciągły z dorobkiem szkół malarskich na kontynencie (głównie ze szkołą flamandzko-holenderską). Również Gainsborough (1721-1788) i Reynolds (1723-1792) przetwarzają wpływy malarstwa kontynentu na język własny — i w konsekwencji wywierają wybitny wpływ na szkoły, którymi się zapładniali (głównie na szkołę francuską). To samo stosuje się w dużej mierze do całej plejady wybitnych portrecistów angielskich z tego okresu, Romney'a, Lawrence'a, Hoppner'a i innych.

W pierwszej połowie wieku XIX rodzi się świetny i oryginalny pejzaż angielski. Głównymi twórcami są tutaj, wspomniany już, Gainsborough, Bonington, Constable, wreszcie William Turner (1775-1851). Ten ostatni należy niewątpliwie do największych postaci nie tylko w historii malarstwa angielskiego, ale w ogóle europejskiego.

Wybitnym jest wpływ Turnera na powstanie szkoły impresjonistów francuskich, on jest właściwym prekursorem, tak typowe dla im rejonistów, techniki dywizji nistycznej u niego spotykamy przed Manetem i Monetem, kolorową wibrację wizji świetlnej w stopniu chyba nie notowanym przed impresjonistami (obrazy: „Kanie Temeraire'a", „Światło, mgła i ruch", „Wenecja" i inne.)

Można by zaryzykować uogólnienie, że nazwisko Hogarth'a otwiera, zaś nazwisko Turnera zamyka okres twórczego współdziałania malarstwa angielskiego ze sztuką europejską. To co przychodzi w malarstwie angielskim po Turnerze, a więc np. prerafaelici (Madox Brown, D. G. Rossetti, Holman Hunt, sir J. E. Millais, potem Burne Jones) — nie jest już inwencyjnym wkładem do sztuki europejskiej o większym znaczeniu. To samo należy powiedzieć o twórczości Wattsa, portrecisty Herkomera, Leighton, Almy Tademy...

Nie trzeba chyba podkreślać, że ten zanik inwencji twórczej w plastyce w najmniejszym nawet stopniu nie świadczy o zmniejszeniu sił duchowo-twórczych angielskich w innych dziedzinach: przez cały wiek XIX i w wieku XX, aż do dni dzisiejszych Anglia wydaje, tworzy w skali największej, ludzi pióra, poetów i powieściopisarzy, filozofów, uczonych, rewelacyjnych badaczy. Nawiasem, warto może zaznaczyć, że taki zanik wielkiej inwencji plastycznej w pewnym okresie znają narody, których dorobek w tej dziedzinie zawiera najwięcej dokonania: jakże nikłym jest wkład do malarstwa europejskiego w wieku XIX np.... Włoch! Minimalne pozycje wartościowe dają też w plastyce Niemcy w wieku XIX i XX (posiadające świetne malarstwo w wieku XV i XVI).

Otwarta obecnie wystawa współczesna malarstwa angielskiego w lokalu Galleria D'arte Moderna w Rzymie nie zdaje się wskazywać jakobyśmy byli świadkami kończenia się stagnacji w plastyce współczesnej angielskiej. Owszem, widoczne jest aż nadto, jak bardzo interesują się dzisiejsi malarze angielscy prądami, które charakteryzują współczesne malarstwo europejskie, ze sztuką francuską na czele, ale trudno doszukać się w ich realizacjach zarów głębszego przemyślenia tych prądów, jak i samodzielnego nurtu. A może, zapyta ktoś, wystawa omawiana nie ma pretensji do reprezentowania poziomu współczesnego malarstwa angielskiego i jest pokazem prac dorywczo zebranych, w dodatku na pokłosie wojennym i nie mającym innych aspiracji jak złożenie biletu wizytowego w zaprzyjaźnionym Rzymie? Jeżeli tak jest — sądzę: należało by to wyraźnie zaznaczyć, gdyż wysoki protektorat Jego Królewskiej Mości, tytuł wystawy oraz miejsce jej otwarcia — wiosnie lizm — uprawniają do stosowania kryteriów bezwzględnych.

Autor niniejszej recenzji zbyt wysoko czci wkład angielski do współczesnej kultury świata, aby mógł pozwolić sobie na „partyzancki" przemilczanie słabości na omawianym odcinku. Bowiem: krytyka w dziedzinie sztuki i nauki, rezygnująca z rzeczowości w imię kurtuazji — jest obrazą.

Zależnie od tendencji kierunkowych, prace wystawione można podzielić na kilka kategorii, a więc: 1) bezpośrednie i pośrednie pochodne impresjonizmu francuskiego, 2) zależne od dążeń formalistycznych początku naszego wieku, głównie kubizmu, 3) próby deformacyjno-ekspresjonistyczne, 4) pogrobowce akademizmu monachijskiego.

Do pierwszej kategorii należy jedna z najlepszych prac wystawy, Augustyna Johna „Autoportret z Fajką"; tutaj też należy wymienić Edwarda le Bas „martwą naturę", wykazującą wrażliwość na kolor, i Rodrica Mynihan'a „Ryby i Butelki". W drugiej kategorii wymienimy prace Wynthama Lewisa, Johna Tonarda, Edwarda Walsworthy, wreszcie zręczną robotę Christopherą Woodą. Kategorię trzecią najdobitniej charakteryzuje większa kompozycja „Owocobranie" Stanley Spencera. W czwartej kategorii najwart słowszą chyba pozycją jest obraz Henry Tonks'a, zdradzający spokojną obserwację i logiczne operowanie światłem; spokojny w tonacji i dobrze rysowany jest „Akt" W. R. Sickert'a.

Świetnie opanowana przez Anglików technika akwarelowa jest tutaj reprezentowana przez nieliczne wartościowe eksponaty. Do takich należy praca Dawida John'a „Skrzypce", ciekawie rytmizowana, nie dość jednak czysta w kolorze.

Marian Szyszko-Bohusz

KŁEM Z RAJU

szkodę, by zostać oficerem — czytaliśmy na ten temat wierszyk: „Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera!", albo inny, zachęcający do pracy: „Ten Hitlerowi dogodzi, kto do pracy nie chodzi!" i jeszcze: „Kto mnogo bałtajet, tot wragu pomagajet!" itp. itd.

W pierwszych tygodniach okupacji rozplakatowano w Krakowie kolorowy afisz pod tytułem: „Wymieciemy Polskę!" z dużą miotłą, wymiatającą AK-wca, Reichsdeutscha i Volskdeutscha — jednym zamaszystym ruchem. Trzeba dodać, że gorliwość w „wymiataniu" AK była dużo większa, aniżeli tych ostatnich.

Po kilku miesiącach usilnej pracy nad czystką, władze zrozumiały, że poza AK Polaków prawie nie było i że jawna walka z całą Polską nie może mieć widoków powodzenia. Nastąpił więc zwrot o 360 stopni. Prasa, rozpisująca się poprzednio o „bandytach faszystowskich" z AK, obecnie gloryfikuje jej członków oddając „hołd" ich bohaterstwu, urządzając obchody w rocznicę powstania, uroczyste akademie i msze żałobne. Tylko taka zw. „góra" AK ponosi (teoretycznie) odpowiedzialność za swoją krętą, „reakcyjną" politykę. Praktycznie jednak aresztuje się wszystkich: „Ty aficer? A?... Prawdu skaži!"

Wszyscy, którzy nie należą do czterech dozwolonych partii: PPR-u, PPS-u Partii Ludowej i Demokratycznej, (które wszystkie bez względu na nazwę są partią komunistyczną) są wrogami narodu tj. faszystami i stanowią tak zw. reakcję, o której się mówi: „czarna reakcja".

Jeden z moich znajomych po aresztowaniu przez NKWD uciekł z więzienia zmienił nazwisko, przeniósł się do innych stron Polski i stał się błagonadiożnym urzędnikiem. Pewnego dnia na terenie biura zjawił się osobnik, rzekomo z Urzędu Statystycznego, dla przeprowadzenia ankiety, kto do jakiej partii należy i aby zapisać na członków tych, którzy jeszcze nigdzie się nie zgłosili.

— A obywatel z jakiej partii? — zapytał z kolei mego znajomego.

— A z żadnej.

— A do której chciałby obywatel należeć?

— Do takiej jednej, której właśnie w Polsce nie ma.

Zapanowała grobowa cisza. Przerażeni koledzy wstrzymali oddech. Wreszcie „statysta" cierpkim głosem zapytał —

— Cóż to za partia? Można wiedzieć?

— Komunistyczna!

— Ależ obywatelu, każda z tych partii jest hm... poniekąd... hm..

— Ja nie lubię „poniekąd". Ja lubię rzeczy zdecydowane! Jak zrobicie partię komunistyczną, proszę się do mnie zgłosić. Teraz szkoda gadania!

Po tej rozmowie młody dyplomata zyskał sobie popularność w całej okolicy i pewno do dzisiaj pije na koszt miejscowych obywateli najlepszy najczystszy bimber.

Bolszewicy mówią: Wy Polacy to jak rzodkiewka — z wierzchu czerwona, a w środku biała.

— A wy jak stajenka Betlejemska. Z wierzchu gwiazda a w środku bydło.

■

Polskie władze państwowe rekrutują się w większości z elementów obcych — Ukraińców, Białorusinów, Żydów, z karierowiczów i z elementów przestępczych. I tak np. wojewodą kieleckim jest chłop ze wsi Jasieniec koło Starachowic, który w 43 r. wydał Niemcom trzech AK-owców. W obawie przed zemstą swoich Iwaniczuk uciekł do partyzantki PPR, gdzie dosłużył się stopnia majora. Obecny wojewoda przybrał nazwisko Wiśliczi-Iwaniczuk.

Szefem Bezp. na Wirszawę jest 24-letni pułk. Sonta, przed wojną uczeń ślusarski w Radomiu — od 42 r. dowódca partyzantki PPR.

P. Mine jest rosyjskim Żydem, do którego marsz. Żukow zapominając, że ma do czynienia z ministrem „suwerennego" państwa adresuje lapidarnie pismo: Prikaz — Mine! Mine!! Wszelkie komentarze są tu zbyteczne.

Nowy „poseł" polski w Pradze zna tylko dwa języki: żargon i rosyjski. Kiedyś ktoś z urzędników poselstwa, bez porozumienia z placówką sowiecką wydał wizę obywatelowi czeskiemu. W godzinę potem nastąpiło dochodzenie, kto śmiał bez pozwolenia władz sowieckich wystawić wizę. W dalszej rozmowie dyplomatów słowo „swołocz" było używane często — choć jednostronnie.

Ale w ciekawej galerii typów „Nowej Polski", nikomu chyba poza tymczasowym prezydentem i premierem nie poświęcono tyle uwagi w satyrach i piosenkach co wojewodzie poznańskiemu. Pan Widy-Wirski, b. dr. ginekolog, obecny wojewoda, swojego czasu był skazany na karę więzienia za niedozwolone operacje.

Oto jedna z fraszek, którą pamiętam: „Zamyślił się wojewoda praca przeterzony: — Zostać wojewodą — pomysł.... poroniony".

■

Na zebraniu dziennikarzy w Krakowie jeden z literatów określił wolność prasy w kraju:

— Ach, jak przyjemnie w tej demokratycznej Polsce! Dawniej cenzura robiła kwestie za zbyt ostrą krytykę prez. Mościckiego, min. Becka, czy marsz. Rydza. A dzisiaj wszystko można napisać o... prez. Mościckim, min. Becku, czy marsz. Rydzu!

Można także pisać całe tomy na temat polskiej emigracji zachodniej — jak ją określa tymczasowy wicepremier Gomółka: „zgniłej reakcji sanacyjno-oenerowsko-eneszetowskiej i faszystowskiej". Te tematy i temat wojska polskiego na Zachodzie, wojska, które „zamiast przelewać krew swoją, ramię w ramię z żołnierzem bratniej armii czerwonej, krwawiło się, jakżeż niepotrzebnie, pod Narwikiem, pod Tobrukiem czy Monte Cassino, a teraz, okłamywane przez wrogą propagandę, nie chce wracać do kraju" — są przez redakcje pism najlepiej widziano. Idą więc z jednej strony apele radiowe i prasowe „do wszystkich Polaków na Zachodzie i zamieszkałych na terenach oddanych przez Polskę", aby wrócili do kraju. „I dla nich i dla tych, którzy kiedykolwiek wyemigrowali, odrodzona Polska znajdzie u siebie dosyć miejsca... zwłaszcza na Zachodzie", z drugiej strony wiadomo, że „piątej kolumny sanacyjno-faszystowskiej, przebywającej na emigracji, Polska Demokratyczna nie ma zamiaru wpuścić do swoich granic". (Z przemówienia „wicepremiera", sekretarza PPR, towarzysza Wł. Gomółki na VIII Sesji Krajowej Rady Narodowej).

Usłyszeliśmy także od tow. „premiera", między innymi cennymi uwagami na temat, czego się mamy spodziewać od Demokratycznej Polski, takie zdanie: „Nie może być dobrym taki porządek społeczny, przy którym elementy rozwoju i postępu są prześladowane, uciskane i terroryzowane(!). Dlatego „Nowa Polska" odradza się na innych podstawach, któreby umożliwiły rozwój wszystkich postępowych sił narodu i równocześnie... likwidowały(!) siły zachowawcze, wsteczne i reakcyjne!".

Skoro się jednak zważy, że „siłą wsteczną i reakcyjną" jest każda siła niekomunistyczna i skoro wiadomo, co znaczy termin „likwidacja" w tymże „demokratycznym" ustroju — niemile się staje życie, do którego budzi się co rano przeciętny obywatel „Nowej Polski".

W myśl więc likwidowania sił wstecznie zachowawczych cenzura, mająca długowieczną, dobrą szkołę carsko-sowiecką, skreśliła wszystko, co mogłoby przez skojarzenia myślowe doprowadzić do myśli opozycyjnych.

W wierszu jednego z najlepszych polskich poetów cenzura skreśliła dwa słowa, zaczynające utwór: „promień **zachodu**"... (Autentyczne).

Przypominają się nie tak dawne czasy, kiedy Moniuszko za arię z „Halki" — „Szumią jodły na gór szczycie", otrzymał ostrą naganę od cenzora rosyjskiego. —

— I dlaczegoż im szumieć tym jodłom, a nie rosnąć spokojnie w dolinie? A? Rewolucji się zachciało! Naród spokojny buntować! A?

Równie pożądane w prasie są artykuły o „dobrodziejstwach" (zw. reformy rolnej, o więzieniach niemieckich, z których „wyzwoliła" nas armia czerwona, o terenach zachodnich, „miodem i mlekiem płynących", które wzamian za „nieużytki" wschodnie „podarowała" nam dobra sojuszniczka Rosja.

„Fundamentem naszej polityki jest i pozostanie pakt przyjaźni, wzajemnej pomocy i powojennej współpracy z ZSRR. Będziemy dążyli konsekwentnie, aby ten epokowy i niezbędny dla narodu polskiego, a również pożądany i korzystny dla narodów ZSRR, przełom w stosunkach polsko-radzieckich zrozumiał głęboko cały nasz naród i strzegł go jak oka w głowie, w interesie wzajemnego bezpieczeństwa i utrwalenia niepodległej Polski". (Osóbka-Morawski — „O polityce Rządu Jedności Narodowej").

Strzeże się więc jak oka w głowie obecnego stanu rzeczy. Prasa, poruszająca czasem temat nadużyć, np. na terenie słynnego Urzędu Mieszkaniowego, BOS-u, PUR-u, czy SPB, nie wspomina ani słowem o rabunkach na drogach, w pociągach i mieszkaniach, popełnianych przez żołnierzy sowieckich, o wywożeniu masowym wszystkiego, co się da z kraju i tak zrujnowanego doszczętnie, o likwidacji fabryk, cukrowni, taboru kolejowego, który z każdym dniem wygląda coraz bardziej opłakanie, o stadach bydła, pędzonych na wschód itd., itp. Pisze się natomiast o dobrodziejstwie sojuszu z Rosją, o korzyściach materialnych i duchowych, jakie Polska stąd uzyskała i uzyska w przyszłości. Prasa codzienna jest przepełniona wiadomościami z ZSRR.

Pewna, zresztą nieliczna grupa pisarzy, zachęcona zarobkami, których Rosja nie szczędzi dla lojalnych(!) artystów, narzędzi swojej propagandy, poszła na daleko idącą współpracę. Prohibicja pisarska, przestrzegana najściślej w ciągu całej okupacji niemieckiej, nie wytrzymała tak długiej i nciążliwej próby.

Do gorliwców, którzy ochoczo stawili się do „współpracy", należą Nałkowska, Piętak, Putrament, Przyboś, Jalu Kurek, Minkiewicz.

Pani Nałkowska, drukująca powieść pod tytułem „Węzły życia" w tygodniku literackim „Odrodzenie", z kobiecą umiejętnością zapominania o tak niedawnych czasach, jak epoka przedwojenna, ukazuje nam orzami „demokratki", którą się obecnie stała, — świat polityczny Polski przedwrześniowej i analizuje przyczyny upadku Polski.

O „przyczynach tragedii wrześniowej" pisze również tow. Gomółka w sposób typowy: „Ludzie, rządzący Polską w okresie naszej drugiej niepodległości, nie uznawali w praktyce tego faktu, że w Rosji dokonał się wielki zwrot w stosunku do Polski po rewolucji 1917 r. Przeszli oni do porządku dziennego nad takim faktem, jak przyznanie narodowi polskiemu przez rewolucję rosyjską 1917 r. prawa do niepodległości i samodzielnego bytu narodowego. Przemilczeli ludzie, którzy Polską rządzili, taki fakt, że ludzie Rosji rewolucyjnej, na których czele stał Lenin, bezwzględnie potępili politykę Rosji carskiej w stosunku do Polaków, jak też w stosunku do własnego narodu, że wypuścili z więzień i zsyłek wszystkich Polaków, których tam zapędził bagnet carskiego żandarma. I co gorsza, gdy nowa Rosja, powstała na gruzach carskiego więzienia narodów, wyciągnęła do Polski rękę do zgody i przyjaźni, to ręka ta zawisła w próżni...

„Toteż, kiedy po roku 1917 zaistniały dla Polski warunki, aby ułożyć przyjaźnie sąsiedzkie współżycie z Rosją i oprzeć je nie na stosunku siły, lecz na podstawach przyjaźni i samostanowienia narodów o swoim losie, należało nam obydwoma rękoma uchwycić się tej myśli politycznej w naszych stosunkach z nową Rosją.

„Niestety, w Polsce nie pojawili się wówczas ludzie, którzyby chcieli i umieli rozumieć istotne interesy własnego państwa, którzyby wyciągnęli słuszne dla Polski wnioski ze zmian, jakie zaszły w Rosji. Przeciwnie, ludzie, którzy stanęli na czele Polski lat 1918—39, postanowili przenieść nienawiść narodu polskiego do carskiej Rosji na nową Rosję — na Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich, chociaż Rosja Radziecka była przeciwieństwem Rosji carskiej".

W tym duchu wygłoszono wiele odczytów i napisano wiele artykułów. Na fakt „wyciągnięcia przez Rosję ręki do Polski" w 1939 r., spuszcza się zasłonę, jak gdyby w historii stosunków polsko-rosyjskich ten „drobny incydent" nie miał żadnego znaczenia, a zbrodnię katyńską „wyjaśnił" odpowiednio w pismach krakowskich p. Litauer.

Prasa codzienna nie różni się niczym od poprzedniej — niemieckiej. Te same tricki propagandowe, oparte na fałszowaniu znanych faktów historycznych i nie gardzące drobnymi, codziennymi kłamstwami. I tak np. pisma prowincjonalne rozpisywały się o trolleybusach, podarowanych przez Rosję Warszawie, podając ich liczbę, opisując ich wspaniały wygląd i nawet umieszczając wywiady z konduktorami i pasażerami!

Z drugiej strony w pismach warszawskich umieszcza się entuzjastyczne felietony z Poznania, w którym kolumny robotników niemieckich uprzątają gruz, a w Poznaniu znowuż listy z Łodzi, zarzuconej bawełną z Rosji. I tak w kółko. A prawda jest taka, że Niemcy nie tylko w Poznaniu, ale nigdzie w Polsce nie usuwają gruzu, bo robią to Polacy, brani przymusowo do robót, wypróbowanym od pięciu lat, niezawodnym systemem łapankowym, że mieszkańcy stolicy jeżdżą furkami i ciężarówkami wojskowymi, które za kurs Praga—Al. Jerozolimskie biorą 30 zł, a trolleybusu żaden z nich nie widział, że z Łodzi wiele surowców, maszyn, materiałów wywieziono utartym szlakiem na wschód itp.

Książek prawie się nie drukuje, bo na beletrystykę szkoda papieru, a książki naukowe nie są lekturą dla mas. Za to kioski i księgarnie są zarzucone uświadamiającymi broszurami.

Zatrzymałem kiedyś przed witryną sklepu „Polskiej Spółdzielni Wydawniczej", udekorowanej podobiznami generalissimusa i jego marszałków. Wzrok mój błąkał się długo po tytułach dzieł: „Kapitał" — „Lenin" — „Rosja a Polska" — „Nowe drogi demokracji" — „Reforma rolna" — „Socjalizm a komunizm" — „Co każdy o komuniźmie wiedzieć powinien?" — „Nowa karta dziejów Polski" — „Lenin a rewolucja rosyjska" — „Zmierzch Londynu"... Autorzy: Marx, Lenin, Szołochow, Litauer, wszyscy bardzo znani. I... raptem dostrzegłem w rogu jedno jedyne nazwisko o odrębnym rodzimym brzmieniu — Wasilewska. W dodatku Wanda. Przetarłem oczy. Nazwisko to wywołało odległe wspomnienia. Gdzież jestem? Podszedłem więc do stojącego na rogu pana w rogatywce, który po bliższym rozpoznaniu okazał się majorem i uchylając nieśmiało kapelusza, spytałem:

— Przepraszam pana, czy nie mógłby mnie pan poinformować, co to za miasto?

— Nu, tak rozumie się — Poznań.

— A ulica? Jak się nazywa ulica, na której stoję?

— Cztoż niegramotnyj? A? Wot napisano, że ulica Stalina, — odpowiedział trochę dziwnym, aczkolwiek zrozumiałym językiem.

— Dziękuję, panie majorze, dziękuję uprzejmie! — zawołał m. — Już wiem, gdzie jestem! Ulica Stalina! Znam! Objechałem tyle miast, a w każdym od Szczecina po Bug i od Gdańska po Cieszyn jest taka ulica. Teraz już wiem niezbicie, że jestem w Polsce!

— Wot, sumaszedszyj — powiedział major wśród polskich i splunął, urywając rozmowę, a ja poszedłem dalej ulicami Stalina, Czerwonej Armii, Rokossowskiego, Walki Młodych... Domy w większości były wypalone. Gruz odgarnięto z jezdni na chodnik. Na zezerniałych od ognia murach połyskiwały świeżą farbą nowe nazwy ulic. Więc już nie Hitlerstr. i nie Siegesalee i nie Ludendorffstr...

Noc zapadła nad miastem, jak ciemne skrzydło ptaka. Powoli, zza ruin wypłynął księżyc, jedyna latarnia miasta i świecił w puste otwory okien i drzwi.

Stałem na Placu Wolności.

Z ŻYCIA TEATRU POLSKIEGO

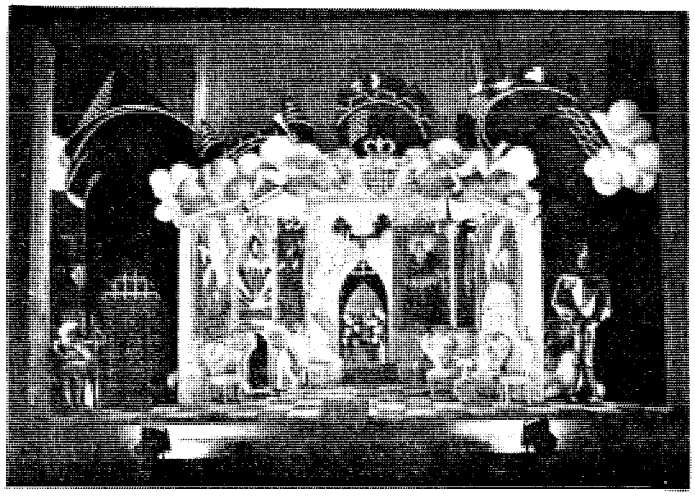

Dekoracja T. Orłowicza do komedii muzycznej „Krawiec na zamku" wystawionej przed wojną w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie w reżyserii W. Radulskiego. Obecnie po przybyciu z niewoli T. Orłowicz przygotuje wraz z Z. Turkiewiczem dekoracje do sztuki Szekspira „Wiele hałasu o nic", którą wystawi Teatr Dramatyczny 2. Korpusu.

PAUL VALERY

SYLF

Ni widziany, ni poznany
jestem lekką zwiewną wonią,
wibrującą i niknącą
na wietrze skądciś przywianym.

Ni widziany, ni poznany
jak błysk szczęścia, czy geniuszu?
Ledwo w kształty sformowany
już blednący w ślad poruszeń...

Lotny i niespodziewany
jakby zamyślonej duszy
nagle błąd uświadomiony —

Ni widziany, ni poznany
chwili błysk, gdy ciał różanych
nagość zalśni spod osłony.

Przekład Marii Petry

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

WIERSZ MIŁOSNY

Wielkie litery zatoczę, jak aeroplan na niebie,
Widoczne całemu światu, za wszystkich, za mnie, za ciebie.

Będziesz musiała tam patrzeć, w górę, za lotem, za dymem,
Wezmę cię w chmury i w światło, wiatrem przywiążę, jak rymem.

Tylko nie lękaj się, nie drżyj, do snu się nie kładź na twarzy,
Nie myśl co nam się zdarzyło i co się jeszcze wydarzy.

Trudno. Inaczej nie mogę, nie znajdę innej pomocy.
Wylecę jeszcze, napiszę. Tylko nie płacz co nocy.

DR TADEUSZ FELSZTYN

BOMBA ATOMOWA (III)

Trudności i skutki

I

W poprzednim artykule („W kuchni nowoczesnego alchemika", „Orzeł Biały", Nr. 45, z dnia 11. XI. *) przerwaliśmy opis prac nad rozwojem bomby atomowej w momencie najkrytyczniejszym, coś jak w odcinku felietonowym powieści kryminalnej, kiedy to autor pozostawia bohatera na gałęzi drzewa, otoczonego zgrają wilków.

Widzieliśmy mianowicie, że oto udało się nareszcie fizykom znaleźć źródło przepotężnej energii, rozszczepienie jądra uranu, bombardowanego neutronami, niestety jednak ową cudowną własność ma w mieszaninie izotopów uranu jeden tylko, U 235, występujący w takim uranie, jaki otrzymujemy normalnymi metodami chemicznymi, w nikłej ilości 0,7%. Inne izotopy nie tylko że nie są źródłem energii, ale — co gorzej — samą swą obecnością wręcz uniemożliwiają wykorzystanie energii rozpadu U 235.

Ażeby więc móc zmusić do pracy przedziwne własności tego izotopu, trzeba go oddzielić od reszty izotopów uranu. Jest to coś tak, jak gdyby w każdy naparstek ziaren piasku włożono po ziarenku maku i powiedziano: a teraz proszę mak ten wybrać.

W bajkach pracę tę wykonywują skrzętnie mrówki, przychodzące na pomoc zapłakanej królewnie. Ale nauka musi niestety inny zastosować system.

Cała trudność polega na tym, że izotopy jednego i tego samego pierwiastka mają identyczne własności chemiczne, toteż oddzielnie ich metodami chemicznymi jest niemożliwe.

Pozostają więc jedynie metody fizyczne. Po raz pierwszy stanęła nauka przed tym zagadnieniem, gdy powstał problem oddzielania tzw. wody ciężkiej od wody zwykłej. Kiedy mianowicie odkryto izotop wodoru, mający w swym jądrze nie tylko sam proton, jak wodór zwykły, ale proton i neutron (a więc dwa razy cięższy od wodoru zwykłego), okazało się, że w wodzie zwykłej jest pewien procent wody ciężkiej, tj. wody, której wzór chemiczny brzmiałby nie H^2O, lecz D^2O, gdzie D oznacza ów ciężki izotop wodoru, zwany „deutronem".

Oddzielenie wody ciężkiej od wody zwykłej metodami czysto fizycznymi było o tyle ułatwione, że jest ona przeszło 10% cięższa od wody normalnej (ciężar cząsteczkowy wody zwykłej — H^2O — wynosi $2 \times 1 + 16 = 18$, wody ciężkiej — D^2O — zaś $2 \times 2 + 16 = 20$), skutkiem czego różnica temperatury jej wrzenia, choć niewielka, jest jednak uchwytna. Drogą więc kolejnej, a mozolnej destylacji można było wodę tę oddzielić. Fabrykacja ta czyniła szybkie postępy i gdy pierwszy otrzymany gram wody ciężkiej kosztował znacznie drożej, niż gram platyny, to później stała się ona o wiele tańszą, a w czasie wojny — w związku z bombą atomową, jak o tym dalej będzie mowa — Niemcy przystąpili nawet do masowej jej produkcji.

Ale z uranem sprawa jest znacznie trudniejsza. Różnica ciężarów między U 235, a ciężarem najlżejszego po nim izotopu uranu (c. at. = 238) wynosi ledwo 1,3%, metody więc, któreby wykorzystywały te nader nikłe różnice fizyczne, wynikłe z tak minimalnej różnicy ciężaru atomowego, muszą być niesłychanie czułe, przekraczające wszystko to, co fizyka dotychczas stosowała.

Jak podaje wspomniane w poprzednim artykule czasopismo angielskie „Time", wykorzystano dwie różne drogi. Pierwszą, to przepuszczanie przez potężny elektromagnes naładowanych elektrycznie cząstek uranu (prawdopodobnie w stanie gazowym, a więc w bardzo wysokich temperaturach, lub też w niższych temperaturach, ale wyrwanych potężnym prądem elektrycznym w lampach próżniowych). Izotop U 235, jako lżejszy, silniej podlega działaniu pola magnetycznego, tor jego cząsteczek jest nieco bardziej zakrzywiony od innych izotopów, dzięki czemu można go „łapać" w odpowiednio ustawionych zbiornikach.

Druga metoda, to wykorzystanie faktu, że para uranu U 235, (a więc uran w stanie gazowym, tj. w bardzo wysokiej temperaturze) jako lżejszego, jest nieco bardziej lotną, dzięki czemu przechodzi przez specjalne filtry, które pochłaniają pary cięższych izotopów uranu. Wobec niesłychanie małych różnic w lotności par różnych izotopów, filtry te muszą być nadzwyczaj czułe, toteż słusznie noszą nazwę filtrów ultramikroskopijnych.

Obok tych metod fizycznych, znalazła się — jak donosi „Time" — wbrew oczekiwaniom i metoda chemiczna. Okazało się mianowicie, że powstałe przy rozszczepieniu U 235 neutrony, uderzając w jądro izotopu uranu o ciężarze atomowym 238 (U 238), tworzą z tymi jądrami nowy, cięższy izotop uranu, który otrzymał nazwę neptunium. Żadne z dostępnych źródeł nie podało dotychczas jego ciężaru atomowego. Należy jednak przypuszczać, że będzie to conajmniej 240, jeśli nie więcej.

Neptunium jest pierwiastkiem promieniotwórczym, przy czym jego rozpad odbywa się w ten sposób, że wysyła on promienie beta (tj. elektrony), dzięki czemu ilość protonów w jego jądrze — jak to widzieliśmy w artykule poprzednim — wzrasta, wynosząc obecnie nie 92, jak w uranie, a 93. Powstaje więc nowy pierwiastek, nazwany plutonium, pierwiastek, który w przyrodzie, na ziemi przynajmniej, nie istnieje. Czy spotyka się go na innych gwiazdach, tego dotychczas nie wiadomo. Neptunium jest przy tym tak silnie promieniotwórczy (tj. wspomniane w poprzednim artykule jego „średnie życie" jest tak krótkie), że bardzo szybko niemal całe przechodzi w plutonium.

Otóż plutonium ma na szczęście te same właściwości, co U 235 — rozszczepiania się na duże kawałki z wydzielaniem wielkich zapasów energii (w dostępnych źródłach brak dotychczas danych, jak przebiega to rozszczepienie i jaką energię ono wyzwala) — może więc być użyty do tych samych celów. A że jest ciałem o zupełnie innych własnościach chemicznych, niż uran, gdyż raczej jest podobne chemicznie do manganu, — a nie, jak uran do chromu — toteż oddzielenie go od uranu normalnymi metodami chemii już stosunkowo łatwe.

Którą z tych metod użyto faktycznie do wyrobu bomby atomowej, nie wiadomo. Wolno się jednak domyślać, że wszystkie trzy. W każdym razie dane, dotychczas ogłoszone, mówią zarówno o użyciu uranu i jego tlenków w bombie atomowej, co wskazuje na dwie pierwsze metody produkcji, jak i o trudnościach wyrobu plutonium. Przy rozpadzie bowiem neptunium na plutonium powstają olbrzymie ilości promieni, niezmiernie niebezpiecznych dla zdrowia. Nie tylko więc sam proces alchemiczny przemiany U 238 na plutonium musiał się odbywać za grubymi płytami ołowianymi, kierowany z daleka, ale nawet i woda chłodząca i powietrze, które przechodziło przez komory reakcyjne, były tak silnie promieniotwórcze, że konieczne były specjalne ostrożności i metody oczyszczania.

II

Nie były to jednak trudności jedyne. Jak się mianowicie okazało, neutrony, wystrzelone przez rozpad U 235, lub plutonium, nie są za powolne, jak dotychczas otrzymywano neutrony, ale na odwrót... za szybkie. Po prostu wiele ich ucieka na wszystkie strony bezużytecznie, zamiast rozbijać jądra następnych atomów. Toteż trzeba było szybkość tych neutronów zmniejszyć, przedzielając okruszynki uranu, czy plutonium odpowiednio warstwą hamującą. Do tego celu Niemcy stosowali ciężką wodę (i w tym właśnie celu tak szeroko rozbudowali jej produkcję), Sprzymierzeni natomiast — jeśli wierzyć informacjom prasowym — grafit.

Dalszą trudnością, którą należało pokonać, to fakt, że — jak stwierdzili w 1940 roku min. również uczeni sowieccy — uran jest nie tylko słabo promieniotwórczy, ale ponadto ulega również i samorzutnemu rozszczepieniu z wydzielaniem neutronów, w sposób opisany w poprzednim artykule. Ilość tych samorzutnych rozszczepień w ciągu np. godziny jest coprawda miliony razy mniejsza, niż ilość wypromieniowanych w tym samym czasie cząstek alfa, ale i ta minimalna ilość wystarczy, jeśli masa uranu (czy plutonium, który prawdopodobnie zachowuje się podobnie) jest za duża, ażeby nastąpił samorzutny wybuch.

Trzeba więc było w bombie atomowej rozmieścić uran, czy plutonium w taki sposób, by do czasu zamierzonego działanie bomby, drobne ilości tych „rozpadowych" (a nie już „wybuchowych") ciał oddzielić od siebie przez przegrodę z jakiegoś ciężkiego materiału, np. ze złota, a ponadto skonstruować odpowiednie urządzenie, które we właściwej chwili usuwa przegrody, tworząc z poszczególnych okruszyn jedną masę, o wielkości dostatecznej, ażeby nastąpił wybuch.

W ten sposób w bombie atomowej samej „masy rozpadowej" tj. U 235, czy plutonium, jest stosunkowo niezmiernie mało. Trudno podać cyfry konkretne; dane, jakie dotychczas prasa ogłosiła, są (prawdopodobnie celowo) tak sprzeczne ze sobą, że nie można nic z nich wysnuć konkretnego. Ale jeśli uwzględnić, że bomba atomowa musi zawierać jakieś urządzenie, wysyłające szybkie neutrony celem zbombardowania pierwszych atomów U 235, tj. celem zapoczątkowania wybuchu (a w laboratoriach cyklotron taki waży setki kilogramów), dalej wspomniane wyżej warstwy hamujące i przegrody izolujące, a wreszcie jakiś mechanizm, któryby w odpowiednim czasie przegrody te usunął, to zrozumiemy, że będzie w tej bombie — ważącej wedle jednych źródeł 100 kg, wedle drugich 200 kg — w najlepszym razie 1% masy „rozpadowej", jeśli nie znacznie mniej. Ale i to wystarczy, by skutki jej były straszne.

Aby już skończyć opowieść o trudnościach, na jakie napotkano przy pracach nad bombą atomową, należy wspomnieć o zagadnieniu może najważniejszym, o niebezpieczeństwie śmiertelnym, jakie groziło ludzkości.

Oto łatwo zapoczątkować rozszczepienie U 235, gdy się go uda wydrobnić z reszty izotopów uranu. Ale co będzie dalej? Czy raz pobudzony rozpad uranu nie pociągnie za sobą lawinowo dalszego rozpadu otaczających ciał i czy przeprowadzający doświadczenie fizycy nie znajdą się w położeniu owego ucznia czarnoksięskiego z ballady Szillera, który umiał wywołać duchy, ale nie wiedział później, jak ich się pozbyć? Czy nie spełni się przepowiednia jednego z fizyków, który ostrzegając przed niebezpieczeństwem sztucznej transmutacji pierwiastków, pisał: kto wie, czy pierwsza podjęta w tym kierunku próba nie przemieni ziemi w nową świecącą na niebie gwiazdę?

Toteż pierwsze doświadczenia, przeprowadzone na minimalnej ilości uranu U 235, dokonano w specjalnej osłonie z kadmu, przeznaczonej do odizolowania zapoczątkowanego rozpadu od otoczenia.

Od tych prób przeszło się do doświadczeń na większą skalę, a wreszcie opanowano proces wybuchu do tego stopnia, że można już było bez obawy zaryzykować rzucenie bomb na Hiroszimę i Nagasaki.

III

Trudno dziś zdać sobie dokładnie sprawę z tego, na czym polega działanie bomby atomowej. Gazety ogłosiły już coprawda wiele opisów skutków, jakie jej wybuch wywołał w Hiroszimie i Nagasaki, ale to wszystko nie może nam odstatecznie wyjaśnić, co właściwie dzieje się w tym czasie.

Wiadomo, że wybuch wywołał zupełne zniszczenie w promieniu przeszło 2 mil (3 1/4 km), że domy zostały zmiecione dosłownie z powierzchni ziemi, gdzieniegdzie nawet znikły ślady ich poprzedniego istnienia. Wiadomo, że ponad 100.000 ludzi zginęło od jednego wybuchu i że ci, co nie zginęli na miejscu, ulegli obrażeniom, które prędzej, czy później doprowadziły do śmierci. Nawet ciała osób, pozornie nietkniętych, pokrywały się po pewnym czasie olbrzymimi czerwonymi plamami, potężnymi bąblami. Osoby, które były w strefie działania bomby, rychło tracą apetyt, włosy wypadają, powstają krwawe wycieki z uszu, nosa i dziąseł, krew traci swe białe ciałka; nic nie zdoła powstrzymać postępu tej nieznanej choroby, nic nie zdoła dotkniętych nią uratować od śmierci, która następuje w ciągu 10 do 20 dni. Nawet u żołnierzy, którzy w pewnym czasie po wybuchu oczyszczali zgliszcza, stwierdzono ubytek 50% białych ciałek krwi.

Naoczni świadkowie, którzy na wybuch patrzeli z dala, opowiadają, że wpierw ujrzeli jakby małą iskrę, a następnie potężny blask, znacznie silniejszy od blasku słońca. Całe miasto stanęło w płomieniach, a nawet zdawało się, że i góry, otaczające miasto, również płoną.

Przyczyna opisanego wyżej działania, to przede wszystkim nieprawdopodobna wprost temperatura, jaką wybuch udziela bombie. Jak wynika z obliczeń teoretycznych, rozpad uranu wywołuje temperaturę 20 miliardów stopni. Jeżeli nawet uwzględnić, że temperatura ta musi się następnie rozdzielić na całą masę bomby, to i tak rachunek da nam ciepłotę dziesiątków jeśli nie setek milionów stopni, a więc temperaturę, której sobie nawet nie jesteśmy w stanie wyobrazić. Jak w tych warunkach zachowuje się materia, co dzieje się z otaczającym powietrzem i innymi ciałami — na to nikt nie jest dziś jeszcze w stanie dać odpowiedzi.

Nie ulega wątpliwości, że wszelkie więzy międzyatomowe muszą pękać, że wszystko co leży w zasięgu tej temperatury — po prostu rozpyla się na poszczególne atomy, przemienia się w jakiś gaz o zupełnie nieznanej konsystencji. W ten sposób domy, ciała istot żywych, w ułamku sekundy ulatniają w dosłownym tego słowa znaczeniu, a więc przestają istnieć w jakiejkolwiek określonej formie. Na ich miejscu powstaje jakiś gaz oderwanych atomów tlenu, wodoru, węgla, żelaza, wapnia itp. w temperaturze przewyższającej wszystko, co znaliśmy dotychczas na ziemi, a może nawet i na słońcu.

Musi to wywołać olbrzymie ciśnienia, rozprzestrzeniające się dokoła wedle nam jeszcze nieznanych praw i przewyższające wszystko, co wywołać może wybuch najpotężniejszego nawet materiału wybuchowego. Ciśnienia te niszczą na swej drodze wszystko, czego nie dosięga wpływ owej wyżej wspomnianej fantastycznej temperatury.

Wreszcie olbrzymia ilość wyzwolonych neutronów i cząsteczek alfa, biegnących z nieprawdopodobną szybkością, musi z konieczności rzeczy wywołać głębokie, a niewiadome nam dotychczas zmiany w jądrach atomów pobliskich wybuchowi ciał martwych i żywych. Jak wynika z opisu skutków bomby, powstają z nich ciała sztuczne promieniotwórcze, podobne do tych, o których mówiliśmy w poprzednim artykule. Jakie, w jakiej ilości, z jakim okresem „średniego życia", tego nie wiemy. Jedno jest pewne, że okresy te muszą być dość długie, skoro znaczny czas jeszcze po wybuchu, ziemia nim dotknięta wydziela promienie, zabójczo działające na organizmy żywe.

Prawdopodobne jest również, że podobne pierwiastki sztucznie promieniotwórcze powstają i w ciałach ludzi, pozornie wybuchem niedotkniętych i że to właśnie jest przyczyną owych tajemniczych chorób. Po prostu ludzie noszą w sobie, we własnym ciele, wciąż gorejące źródło zabijających organizm promieni.

Co zaś w tym wszystkim jest najstraszliwsze, to fakt, że takich „skażonych" miejsc nie można niczym odkazić, że zatrutego przez sztucznie promieniotwórcze pierwiastki organizmu nie można wyleczyć. Nie znamy dotychczas sposobu, by przerwać działanie ciał promieniotwórczych. Cokolwiek bowiem byśmy nie robili, w jakiekolwiek związki chemiczne nie wchodziłyby te pierwiastki, ich własności promieniotwórcze nie ulegną żadnej zmianie i zawsze będą one wysyłały w świat swe zabójcze promienie — w niezmiennym rytmie, o niezmiennym natężeniu.

(dalszy ciąg nastąpi)

*) Por. również „Orzeł Biały", Nr. 44, z dnia 4. XI. „Ku nowym źródłom energii".

Świat, do którego nas prowadzono (!)

W r. 1943 nie tylko sytuacją militarną*) skłoniła sprzymierzonych do pozostawienia Rosji wolnej ręki w Europie Wschodniej. Obok względów militarnych istniały względy polityczne.

W chwili obecnej Walter Lippmann zajmuje w Ameryce miejsce podobne do stanowiska, jakie w Anglii posiadą profesor Carr i wydawca "Times'a". W książce pt. "U. S. War Aims" (Cele wojenne St. Zjedn.) wysuwa on koncepcję podziału całego świata na trzy grupy regionalne, pozostawione same sobie, bez prawa interwencji członków jednej grupy w sprawie państwa przynależnego do innej strefy. Grupami tymi mają być: „Wspólnota Atlantycka", obejmująca obydwie Ameryki, Imperium Brytyjskie, kraje Europy Zachodniej i Niemcy; „Orbita Rosyjska", przez którą rozumieć należy wszystkie kraje od Pragi Czeskiej do Władywostoku; „Orbitą Chińską", obejmująca resztę świata, z ewentualnym odłączeniem się od niej w przyszłości "Orbity Indyjskiej", jako autonomicznej wspólnoty. Podział świata na wymienione trzy strefy opiera się bądź na wspólności interesów państw poszczególnych grup, bądź na dominacji sprawowanej faktycznie przez jedno państwo. Współpraca między trzema strefami może być tylko negatywnej natury, polegając na wzajemnej nieinterwencji. Odmienność systemu rządzenia w różnych strefach wyłącza inne formy współpracy: „Porządek świata nie może być w połowie demokratyczny i w połowie totalitarny". Innymi słowy: nie jest możliwa współpraca między demokracją i państwem totalitarnym. Lippmann ukazuje różnice metod działania na przykładzie Rosji i St. Zjednoczonych (str. 90—91 ang. wydania). W Sowietach istnieje ścisła cenzura wiadomości wychodzących z Rosji i nadchodzących do Rosji z całego świata. Opinia publiczna nie może więc ani wpływać, ani decydować o polityce zagranicznej Rosji. W St. Zjednoczonych natomiast opinia posiada głos w tych sprawach i może wpłynąć, a nawet zmienić politykę, z konieczności prowadzoną jawnie i na jej oczach. Dyplomacja rosyjska może na skutek systemu rządzenia typu sowieckiego posługiwać się metodą tajemnicy i zaskoczenia, wytraconej z rąk dyplomacji państwa demokratycznego, w którym wybór drogi postępowania dokonywuje się w wyniku publicznej dyskusji. Liga Narodów, oparta na zasadach prez. Wilsona, nie daje się w tych warunkach urzeczywistnić. Wyraźne, ostro odcięte strefy wpływów są jedynym celem praktycznym, zapewniającym pokój.

Walter Lippmann jest wyrazicielem poglądów dzisiaj szeroko rozpowszechnianych. Zmierzch świata opartego o zasadę samostanowienia narodów, był zapowiadany od dawna. Głosił go długo przed wojną Lord Lothian, wyznawca internacjonalizmu i uniwersalizmu w nowej organizacji świata. Wojna i dynie przesunęła płaszczyznę problemu z dziedziny teoretycznej do dziedziny praktycznej.

„W Europie — pisze prof. Carr w ostatniej swej książce „Nationalism and after" — może niektóre z małych jednostek z przeszłości będą nadal przez parę generacji sztukowały swą mizerną niezależną egzystencję, inne może zachowają cień niepodległości, gdy jej rzeczywistość już zaniknie. Jednak ich niepewność militarna i ekonomiczna została wykazana bezapelacyjnie. Mogą one żyć nadal tylko jako anomalia i anachronizm w świecie, który postąpił na drodze do innych form organizacji".

Alternatywą zasady samostanowienia nie jest jednak powszechny uniwersalizm. Między regionalnymi grupami państw nie istnieje dostateczna spójność. Tworzą one systemy różne w sposób istotny, tak pod względem organizacji społecznej i ekonomicznej, jak i zasad moralności i postępowania. Rosja jest państwem „planowanym", Ameryka — kapitalistycznym, W. Brytania — częściowo „planowanym", częściowo uznającym wolną inicjatywę. Żadne z nich nie zechce wyrzec się form przez siebie obranych. Lecz mniejsze narody nie mają tego wyboru. Ich istnienie jest uwarunkowane od militarnego i ekonomicznego scałkowania z systemem właściwym regionalnemu zgrupowaniu, do którego geograficznie należą.

„Tylko w ten sposób — pisze prof. Carr w cytowanej książce — mogą mniejsze narody uczestniczyć skutecznie w systemie międzynarodowego bezpieczeństwa i utrzymać swą niepodległość przez dobrowolne rozłożenie pewnych jej atrybutów wo wspólnej puli".

Przedstawiony sposób myślenia nie jest teoretyzowaniem. W intencjach ludzi, którzy sformułowali, odzwierciedla on obecny rozwój wydarzeń. Historia zjawisk społecznych ostatnich 50 lat ujawniła jednak na wielu przykładach, iż „nieuniknione" zjawiska społeczne przypuszczalnie nie istnieją, lecz stają się nimi, jeżeli za takie są uważane. Nie znalazł się wszakże nikt, kto zakwestionowałby nieuniknioność ewolucji świata od zasady samostanowienia do zasady regionalnych ugrupowań. W. Brytania nie skorzystała z jedynej okazji zorganizowania Europy jako jednostki politycznej, społecznej i kulturalnej. Niemcy przez swą rewolucję narodowo-socjalistyczną przekreśliły wszelkie możliwości i prawa do tej roli. Francja zrezygnowała dobrowolnie, pod naciskiem wydarzeń, z przewodnictwa w Europie. W braku kierownictwa świadomego swych zamierzeń Europa rozpadła się na regionalne grupy.

Przyjęcie haseł zwyciętonych

Zwycięzcy przyjęli hasła zwyciężonych. Realpolitik, Grossraumwirtschaft, idee hitlerowskich Niemiec, mają po ich pokonaniu kształtować rzeczywistość. Ten bieg wydarzeń uważą się za naturalny i nieunikniony. „Znamy kierunek, w którym świat idzie", pisze prof. Carr w „Conditions of Peace", „i musimy pochylić przed nim czoła lub zginąć".

Strefy lub orbity wpływów wysunięte więc zostały jako kształt nadchodzącego świata. Jego nowa konstytucja, uchwalona w San Francisco, miała mu nadać „nieodwołalną" rzeczywistość. Konstytucja ta nie daje się jednak w żaden sposób pogodzić z zasadą suwerennej równości wszystkich państw, małych i dużych. Wielkie mocarstwa zajęły miejsce uprzywilejowane, z którego nawet zgodna opinia wszystkich innych państw usunąć ich obecnie nie może. Nie umniejszą tego faktu oświadczenie, złożone po Jałcie przez mężów stanu, któremu wszyscy tak wiele zawdzięczamy, iż rolą wielkich mocarstw nie jest panować nad światem, lecz służyć mu.

Żyjemy w czasach cynizmu i pogardy, w których posługiwanie się pięknymi słowami na oznaczenie brzydkich rzeczy stało się codzienną i nie hudzącą skrupułów praktyką. Dominująca rolą wielkich mocarstw w Radzie Bezpieczeństwa nie wywołałaby podejrzeń i wątpliwości jedynie wówczas, gdyby mocarstwa te posiadały zaufanie wszystkich, zgodnie z zasadami prawa i moralności międzynarodowej. W jaki sposób wielkie mocarstwa mogą zyskać to zaufanie? Słowa i zapewnienia uczciwości są w tym wypadku bez znaczenia; liczyć się będą tylko czyny. „Nie przez podpisy pod Kartą Atlantycką", pisze Sir William Beveridge o postanowieniach w Dumbarton Oak, „i składanie ogólnych deklaracji o suwerennej równości wszystkich narodów, lecz przez uznanie równości w praktyce, mogą wielkie mocarstwa przekonać świat o swej dobrej woli". W niewiele miesięcy od chwili nastania pokoju w Europie niejeden naród, który znalazł się w strefie wpływów nie ze swego wyboru, zapytać się może słusznie i z niepokojem: gdzież są te czyny?

Przeszłość nauczyła nas prawdy, iż porządek świata, oparty na porozumieniu między wielkimi mocarstwami, oznacza ustalenie pięknych zasad na konferencjach oraz postępowania jednostronnego, arbitralnego, egoistycznego i często okrutnego, w stosunku do narodów, które zlecone zostały ich pieczy lub znalazły się geograficznie i militarnie w ich strefie wpływów w okresach między konferencjami. „Realista" określa ten stan rzeczy słowami: życie idzie własnym torem.

Doświadczenia tej wojny nauczyły nas, że nowoczesna technika podważyła znaczenie granic, w każdym razie w Europie, a w niedalekiej przyszłości, być może, w całym świecie. Bombardowanie Londynu oznaczało, że granice strategiczne przestały istnieć. Jedyną granicą, jaka pozostała, jest ta, która przechodzi przez dusze ludzkie. Podział świata na strefy wpływów nie chce nie wiedzieć o tym fakcie.

Dżungla albo federacja wolnych narodów

Podział świata na „superpaństwa" wyłącza panowanie prawa między narodami. Jeśli uznaje się przemoc i siłę za legalną metodę organizacji wewnętrznej poszczególnych stref wpływów, jaką mieć możemy nadzieję, iż inne sposoby znajdą zastosowanie w rozwiązywaniu spraw spornych między różnymi strefami wpływów? Międzynarodowa dżungla jest jedyną alternatywą panowania prawa między narodami i z konieczności musi ona zapanować po odrzuceniu Rule of Law (rządów prawa).

W świecie nowoczesnym porządek i trwały pokój nie dadzą się osiągnąć dopóki państwa, tak duże jak i małe, zachowają niczym nieskrępowaną suwerenność ekonomiczną. Nie oznacza to jednak, by stracić musiały wszelką suwerenność, lub — co na to samo wychodzi — by tworzące się w świecie „superpaństwa" musiały zagarnąć absolutną władzę ekonomiczną w swe ręce. Utrata suwerenności ekonomicznej oznacza z pewnością utratę suwerenności politycznej, o czym kilkoletnie panowanie Hitlera w Europie powinno każdego przekonać. Dla zapewnienia ładu w świecie nie potrzeba superpaństw, dyktujących narodom, w jaki sposób powinny dysponować swymi zasobami. Do tego celu wystarczy międzynarodowa organizacja, zdolna wstrzymać je od postępowania szkodliwego dla sąsiadów, tzn. organizacja, obdarzona władzą w niczym nie przypominająca nowoczesnego totalitarnego państwa.

Organizacja ponadnarodowa, która sprawując ściśle określoną władzę nie narusza jednocześnie suwerenności narodów pod wszystkimi innymi względami, jest federacją. Ustrój federalny stwarza system praw i daje aparat wykonawczy, pilnujący jego przestrzegania. Bez określonego systemu praw, którego brak charakteryzuje świat rozbity na strefy wpływów, niepodległość narodów jest słowem pozbawionym znaczenia.

Czy rozwój świata pójdzie w kierunku związków federalnych? Na razie idziemy ku przyszłości w oczekiwaniu nowego okresu „legitymizmu". Przyznaje on narodom prawa proporcjonalne do ich militarnego potencjału. Będzie to także „legitymizm" nowego typu, który dotychczas istniał poza Europą, podczas gdy dzisiaj stać się ma prawem dla znacznej części Europy, będąc jednocześnie jej obcy i zabójczy dla całej jej tradycji i przeszłości. Nie uznaje on wolności narodów, ponieważ nie uznaje wolności człowieka. Temu „legitymizmowi" na imię kolektywizm.

(P. S. Artykuł powyższy pisany był przed ostatnimi mowami Bevina i Trumana i przed zapowiedzią spotkania Truman-Attlee. Wydarzenia te były i są przejawem wzrastającego kryzysu w systemie międzynarodowym, który chciano układać według omawianego tak krytycznie przez autora planu. System ten wiódł, jak zgóry można było przewidzieć, do nowej katastrofy. Dziś świat wolny zapytuje, czy zawracamy już ze złej drogi i czy istotnie na miejsce zamkniętych bloków, dzielących świat, wytworzy się, jak wyraził się w Ameryce p. Attlee, jedność oparta na założeniach chrześcijańskich? — Red.)

Zbigniew Jordan

*) Zob. „Orzeł Biały" nr. 45 z dnia 11 bm.

WOJCIECH K-SKI

„Tribune" o sytuacji w Austrii

Wśród angielskich tygodników politycznych radykalno-socjalistyczną „Tribune" zajmowała zawsze poczesne miejsce, a znaczenie jej jeszcze się wzmogło z chwilą objęcia rządów przez Labour Party. Wprawdzie poglądy „Tribune" nie zawsze pokrywają się z oficjalnym stanowiskiem góry partyjnej, są bardziej radykalne i może bardziej „pryncypialne", ale zawsze są rzetelne i szczere.

Ostatni numer tygodnika (z 2 bm.) zawiera obszerną korespondencję pt. „Sprawozdanie z położenia w Austrii". Sprawozdanie przytaczamy w obszernych wyjątkach.

„Bezpośrednio po przybyciu do Wiednia napotyka się na szereg uderzających wrażeń. Lotnisko mieści się w rosyjskiej strefie okupacyjnej na południowy wschód od stolicy, ale pozostaje pod kontrolą RAF'u. Tutaj napotyka się po raz pierwszy na pustkę i brak jakichkolwiek przejawów życia, co jest oznaką charakterystyczną dla wszystkich terytoriów, kontrolowanych przez Rosję. Po dziesięciu minutach drogi wyjeżdża się ze strefy rosyjskiej. Granica tej strefy jest oznaczona tryumfalnym łukiem, pomalowanym jaskrawymi kolorami, naszpikowanym czerwonymi chorągwiami i pokrytym komunistycznymi hasłami, tudzież portretami wodzów sowieckich. Krótko — i bez złej woli — chłopcy z RAF'u nazywają ten łuk „wejściem do cyrku" (Circus entrance)".

„Teraz wjeżdżamy do Schwechat, południowo-wschodniego przedmieścia. Było ono miejscem zaciekłych walk i nie więcej niż 20% domów ocalało. Ponury obraz zniszczenia, niewiele zmniejszający się w miarę, jak jedziemy, towarzyszy nam aż do centrum Wiednia. Tutaj znowu rosyjski pomnik zwraca uwagę. Jest on zbudowany na placu Schwarzenberga, trochę przypomina kolumnę Nelsona, ale podstawa jest z marmuru, kolumna z białego kamienia, a na szczycie stoi zbrojny żołnierz armii czerwonej. Pomnik jest otoczony kolumnadą i jest wzniesiony ku czci żołnierzy sowieckich, którzy padli w walkach o wyzwolenie Wiednia. Budowa jego kosztowała 700.000 szylingów (około 18.000 funtów szterl.). Rachunki za budowę pomnika przestało dowództwo rosyjskie wiedeńskiej radzie miejskiej do uregulowania".

Gwałt i zniszczenie

Te pierwsze dziwaczne wrażenia sowieckie są niejako wprowadzeniem w atmosferę, panującą w Austrii; od wrażeń tych nikt się nie może uwolnić w czasie pobytu zarówno w Wiedniu, jak i na prowincji. Jak stwierdza autor, nie tylko Austriacy, ale tak samo Anglicy, Amerykanie i Francuzi pozostają pod bezustannym wrażeniem zachowania się Rosjan. Wyczyny czerwonych bohaterów

„są początkiem i końcem każdej rozmowy; pod ich wrażeniem pozostaje bogaty i możny, jak i biedny i słaby".

„Siły rosyjskie w Austrii wynoszą mniej więcej od 600.000 do 800.000 żołnierzy. Żyją one na wsi i ze wsi, co ma znacznie dużo większe, aniżeli tylko pięcie rekwizycji. W rejonach przez sobie zajmowanych, oddziały rosyjskie pozostawiają za sobą gospodarczą i moralne spustoszenie. Życie jest niepewne, rację żywnościowe sięgają zaledwie ułamka oficjalnej wysokości, grabież jest pospolitym zjawiskiem".

„Liczba urzędowo stwierdzonych wypadków gwałtu w Wiedniu w obwodach zajmowanych przez Rosjan przekracza 100.000. W rosyjskiej strefie okupacyjnej niewiele kobiet ośmiela się wychodzić samotnie po zmierzchu. W Dolnej Austrii liczba ostatnio zameldowanych władzom sanitarnym wypadków chorób wenerycznych przekracza 50.000; dotyczy to prawie wyłącznie kobiet; przyjmuje się, że co piąta dorosła kobieta jest chora wenerycznie. Wschodnia Styria naprzód zajęta była przez Rosję, obecnie stanowi angielską strefę okupacyjną; gdy lekarze angielscy rozpoczęli tam badanie stanu zdrowotności, stwierdzili, że około 80% z ogólnej liczby dorosłych kobiet zostało zgwałconych; procent stwierdzonych chorób wenerycznych waha się wśród tych kobiet od 25 do 40%".

„Temu szturmowi na kobiety towarzyszył podobny szturm na własność: nie był to tylko rabunek, ale po prostu bezcelowe i bezmyślne niszczenie odzieży, mebli, domów".

Żołnierz rosyjski

„Żołnierz rosyjski... jest w najwyższym stopniu prymitywnym, naiwnym i zachowuje się zupełnie, jak dziecko; ponadto jest zupełnie psychicznie nieprzygotowany do wyjścia poza granice Rosji i do zobaczenia Europy. Wielu z ubogich robotników lub chłopów austriackich straciło wszystko co posiadali, bowiem rabującemu ich żołnierzowi rosyjskiemu powiedziano, że jego ofiarą jest burżujem. Wielu żołnierzy angielskich, jak i austriackich komunistów przeżyło prawdziwy wstrząs, kiedy spotkali się z prawdziwym obrazem armii czerwonej, a nie z jej propagandową odbitką. Żołnierz rosyjski nie jest umyślnie brutalny czy chamski; powiedziano mu, że to on wygrał wojnę, i że ludzie, którzy go teraz otaczają, są faszystami czy kapitalistami; dlatego też zadaje sobie pytanie, dlaczego oni mają mieć takie pociągające rzeczy, jak zegarki, czy kobiety, — gdy on — zwycięzca — tych rzeczy nie posiada".

Sytuacja na wsi

„Dolna Austria została całkowicie obrabowana. Tak typowe podmiejskie ogródki, których wiele było wzdłuż drogi od Wiednia do Bratysławy, zostały wszystkie bez wyjątku obrabowane i opróżnione. Taki sam los spotkał wszystkie zapasy rolników, przygotowane na zimę i wiosnę. Tylko drobny odsetek pól jest zaorywany. Na polach widać bardzo mało mężczyzn; prawie nie widać kobiet. Świnie, konie i drób zupełnie zniknęły z tej części

(Dokończenie na str. 11.)

s. s.

Zbliżenie amerykańsko-brytyjskie

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

Walter Lippman, głośny publicysta amerykański i współpracownik „New York Herald Tribune", w swojej powszechnie dziś znanej i szeroko komentowanej książce pt. „U. S. Foreign Policy" (Polityka Zagraniczna St. Zjednoczonych) napisał:

„...sprawdzianem tego, czy utrzyma się w przyszłości pokój lub też czy dojdzie do wojny, będzie okoliczność, czy sprawy państw sąsiadujących z Rosją i z mocarstwami atlantyckimi zostaną ustalono zgodnie, czy też drogą nacisku, dyktatur i gwałtu dyplomatycznego. Graniczne to państwa ciągną się na północy od Finlandii i obejmują Szwecję, a rozciągają się poprzez Polskę, kraje naddunajskie i bałkańskie do Turcji, obejmując też Niemcy. Jeżeli na tym obszarze wysiłki w sprawie uregulowania zagadnień terytorialnych oraz w sprawie ustalenia, jakie rządy zostaną uznane na tych terenach, doprowadzą do głębokich i nierozwiązalnych zatargów między rosyjską koncepcją jej żywotnych interesów, a koncepcją zachodnich sprzymierzeńców, wówczas każdy naród musiałby dojść szybko do wniosku, iż musi być gotów i wybrać sobie miejsce w ewentualnej choć nieuniknionej następnej wojnie."

„...Jeżeli W. Brytanii, Rosji i St. Zjednoczonym nie uda się stworzyć między sobą przymierza, otrzymamy dowód, że trzy to mocarstwa są potencjalnymi przeciwnikami..."

Jak wiadomo, w konsekwencji swoich wywodów Lippman domagał się otwartego stwierdzenia konieczności sojuszu brytyjsko-amerykańskiego. Ukrywanie bowiem konieczności tego faktu ze względu na istniejące przesądy, uprzedzenia historyczne i rywalizacje handlowe otworzyło by, zdaniem Lippmana, drogę do dalszego zakłamania, gdy tymczasem nie względy ideowe, nie wspólny nawet język, ale interes obu mocarstw wymaga współdziałania.

Przypomnienie powyższych ustępów i wniosków zawartych w książce Lippmana (była ona omawiana obszernie na łamach „Orła Białego" w nr. 8 (98) z dn. 20.II.44.) wydaje nam się najtrafniejszym komentarzem brytyjsko-amerykańskich rozmów w Waszyngtonie, których końcowy wynik znany będzie światu za kilka już godzin.

Attlee w Białym Domu

Ale już dziś, przed ogłoszeniem oficjalnego komunikatu zamykającego te obrady, nie ma wątpliwości, jaki będzie rezultat wizyty Attlee w Białym Domu: zbliżenie i ścisła współpraca brytyjsko-amerykańska o charakterze sojuszu dostępnego dla wszystkich narodów, stojących na stanowisku demokracji.

Przed swoim odjazdem z Londynu na kontynent amerykański, przemawiając na przyjęciu u lorda-majora Londynu, Attlee cele swojej podróży sformułował w następujących słowach:

„...Wiozę ze sobą wasze życzenia pomyślności dla naszych rozmów i zakończenia ich stwierdzeniem wzrostu przyjaźni i współpracy pomiędzy naszymi krajami i żeby rozmowy nasze dopomogły w zespoleniu wszystkich narodów.

„Jestem przekonany, że upoważniacie mnie do wyrażenia prez. Trumanowi waszej najwyższej aprobaty dla jego ostatniej mowy i naszego szczerego przyjęcia 12 punktów, które ogłosił on jako przewodnie zasady amerykanskiej polityki.

„W szczególności mile widzimy zapewnienie o kontynuowaniu czynnego udziału St. Zjednoczonych w sprawach polityki światowej."

To samo niemal powtórzył premier W. Brytanii w swojej mowie, wygłoszonej do obu izb Kongresu Amerykańskiego:

„Dzisiaj St. Zjednoczone są największą potęgą na ziemi, a jednak nie stanowią one groźby dla nikogo. Wszyscy wiedzą, że nie użyją one w przyszłości w większym stopniu, aniżeli robiły to w przeszłości, swej potęgi dla swych planów i terytorialnych zaborów.

„Widzę przed sobą erę wzrastającej współpracy i przyjaźni pomiędzy St. Zjednoczonymi i Brytanią — nie będzie to jednak przyjaźń zamknięta, lecz wkład początkowy do złączenia razem wszystkich narodów poprzez Organizację Zjednoczonych Narodów w związek pokoju."

Zarówno w jednej, jak i w drugiej mowie premier brytyjski jeszcze raz wyraźnie sformułował zasady ideowe, na których oparty będzie sojusz amerykańsko-brytyjski, i na których powinien być również oparty przyszły porządek światowy:

„Szukamy świata, w którym małe narody tak samo jak i wielkie mogły by żyć w bezpieczeństwie. Szukamy świata, w którym zwyciężyły zrąd oparty na prawdzie. Szukamy świata socjalnej sprawiedliwości.

„Największym wysiłkiem, przed jakim stoimy, jest przekonanie wszystkich ludzi — zanim będzie zapóźno — że **nasza cywilizacja może jedynie ocaleć przez przyjęcie i praktyczne zastosowanie w stosunkach międzynarodowych zasad Chrześcijaństwa, którego wszyscy jesteśmy członkami**

„Jesteśmy przekonani, że nie możemy zrobić nieba we własnym naszym kraju, a pozostawić piekło na zewnątrz."

W świetle ostatnich wydarzeń politycznych widzimy, że istotnie uprzedzenia historyczne a co najważniejsze rywalizacje handlowe i trudności ekonomiczne, które w tak ostrej formie zarysowały się między W. Brytanią i St. Zjednoczonymi po wstrzymaniu przez Waszyngton dostaw z tytułu Lend and Lease, przezwyciężone zostały przez wspólne interesy obu mocarstw. Ale nie tylko interesy, tak samo i wspólny sposób myślenia, wspólna ideowa postawa odegrały tu doniosłą rolę.

Zarówno z mów Attlee, jak i z mowy Trumana wynika niedwuznacznie, że podstawą Organizacji Zjednoczonych Narodów stanie się sojusz amerykańsko-brytyjski, gotowy zawsze przyjąć i współpracować z tymi państwami, które szczerze staną na stanowisku zasad demokratycznych.

Czy zbliżenie amerykańsko-brytyjskie jest dowodem, że zarówno Waszyngton jak i Londyn doszli do przekonania zgodnego z zacytowanym przez nas na wstępie ustępem z książki Lippmana, iż należy już uznać za rzecz niemożliwą porozumienie się z Rosją?

Częściowo tak. Dlatego tylko częściowo, że waszyngtońska wizyta Attlee i manifestacja przyjaźni dwóch mocarstw anglosaskich jest równocześnie i próbą nacisku na Moskwę, a zarazem jeszcze jedną, być może ostatnią, ofertą kompromisu między trzema wielkimi mocarstwami. Oczywiście kompromisu opartego tym razem na wzajemności, która dziś musi się przejawić w rzeczy o wiele ważniejszej, bo w otwarciu Rosji dla międzynarodowej kontroli produkcji energii atomowej. Czy to jest możliwe?

Odpowiemy na to cytatem ze znanego już naszym czytelnikom artykułu znakomitego filozofa angielskiego, profesora uniwersytetu, autora wielu dzieł naukowych, Bertranda Russel'a. W artykule wydrukowanym w „Manchester Guardian", pacyfista i demokrata Russel dochodzi do wniosku:

„Ujawnienie tajemnicy samo przez się nie da nic dobrego. Może ono zmniejszyć przyczyny tarć pomiędzy Ameryką i Rosją na pewien okres, kosztem poddania kontynentu europejskiego jeszcze większej przewadze rosyjskiej aniżeli to ma miejsce obecnie, lecz narastać będą tarcia na dłuższą metę wskutek zmniejszenia się rosyjskiej wrażliwości na nacisk.

„Tarcia, prędzej czy później mogą doprowadzić do wojny a wojna doprowadzi do całkowitego zniszczenia, jeżeli nie przyjdzie w ciągu najbliższych kilku lat."

Jedyną gwarancją ze strony Rosji wyrównującą ewentualne dopuszczenie jej do tajemnicy bomby atomowej, mogło by być tylko zlikwidowanie w takiej czy w innej postaci systemu czerwonego totalizmu i otwarcia granic Rosji dla swobodnej wymiany z resztą świata. Wszystkie inne rosyjskie obiecanki zakończyły by się tym, o czym pisze Russel.

Jest rzeczą znamienną, że część prasy amerykańskiej, a także i angielskiej odniosła się krytycznie do tego ustępu mowy prem. Attlee, w którym on zbyt pochopnie zapewniał Rosję o możliwości dopuszczenia jej do tajemnicy.

Sprawa Palestyny

Jak na razie nie wiadomo jeszcze, czy w czasie pobytu Attlee w Waszyngtonie nastąpi sfinalizowanie rozmów brytyjsko-amerykańskich w sprawach gospodarczych. Natomiast nastąpiło już wyrównanie poglądów amerykańsko-angielskich w sprawie Palestyny.

We wtorek dnia 12 listopada bryt. min. spr. zagr. oświadczył w parlamencie, że rząd St. Zjednoczonych zgodził się na współpracę z rządem brytyjskim w celu rozwiązania trudnego problemu palestyńskiego. Powstanie angielsko-amerykański komitet, którego zadaniem będzie ogólne rozpatrzenie sprawy Żydów w Europie oraz szczegółowe zapoznanie się z tym zagadnieniem na terenie Palestyny.

Zarówno Żydzi jak i Arabowie są niezadowoleni z powyższej decyzji. Żydzi twierdzą, że przekreśla ona ich nadzieje na budowę państwa żydowskiego, Arabowie zaś są zdania, że nowa decyzja pozbawia ich tych wszystkich korzyści, jakie im przyznawała „Biała Księga" angielska. W Palestynie Żydzi na znak protestu ogłosili 12-sto godzinny strajk. Zarówno brytyjskie jak i amerykańskie czynniki rządowe przestrzegają obydwie strony przed usiłowaniami stosowania siły i szukania na własną rękę rozwiązań.

Brytyjsko-amerykańskie porozumienie w sprawie Palestyny, mimo sprzeciwu Żydów i Arabów, stanowić będzie doniosły czynnik w stabilizacji stosunków politycznych na Bliskim i Środkowym Wschodzie.

Organizacja bloku zachodniego

Z informacji, jakie rozeszły się z kół francuskich, wynika, że rokowania przegotowawcze, podjęte z inicjatywy min. Bevina natychmiast po dojściu do władzy obecnego rządu angielskiego, w celu uzgodnienia współpracy państw zachodnio-europejskich, doprowadziły po trzech miesiącach do uzgodnienia niemal wszystkich różnic w sprawach finansowych i celnych, jakie istniały między Waszyngtonem, Londynem, Paryżem i Brukselą. Umożliwi to opracowanie wspólnego systemu układów gospodarczych i celnych. Pozostają do załatwienia sprawy polityczne, które jednak nie nastręczają większych trudności.

Formowanie bloku zachodnio-europejskiego postąpi w najbliższym czasie naprzód jeszcze i z tego powodu, że kierownikiem rządu francuskiego na okres obrad konstytuanty francuskiej został obrany jednomyślnie przez nowy parlament, generał de Gaulle, co zapewnia stabilizację polityki francuskiej na dłuższy okres.

Francuskie koła polityczne są zdania, że ujawnienie powyższych szczegółów o postępie prac nad organizacją współpracy państw zachodnio-europejskich nie ułatwi odprężenia między Rosją i zachodnimi mocarstwami.

Reakcja Moskwy

Świadczyły by o tym również i reakcje Moskwy na ostatnie wydarzenia na Zachodzie.

Prasa sowiecka zawzięcie bojkotuje konferencję waszyngtońską i nie ogłasza żadnych wiadomości o spotkaniu Truman-Attlee-Mackenzie King.

Przywódca komunistów amerykańskich, William Foster, ostro zaatakował politykę St. Zjednoczonych na Bałkanach i w Chinach, jako „klasyczny wzór imperializmu", a prezydenta Trumana nazwał imperialistą i reakcjonistą.

Moskiewska *„Prawda"* komentując mowę Bevina, głównie zaś jej ustęp o prawie W. Brytanii do zacieśnienia przyjaźni z sojuszniczymi państwami napisała: „nie można powiedzieć, aby sprawie pokoju przysłużyć się mogła kampania, prowadzona w celu utworzenia bloku — tym bardziej, że zadaniem tych bloków ma być obrona pewnych, niewyraźnych interesów". *„Prawda"* przyznaje, że w chwili obecnej współpraca między Rosją, St. Zjednoczonymi i W. Brytanią przechodzi *ciężką próbę"*.

Jednak Rosja nie ogranicza się tylko do tego rodzaju słownych i pisemnych reakcji. Ostatni tydzień przyniósł cały szereg nowych faktów stwierdzających, że Rosja organizuje w dalszym ciągu swój blok wschodni i nadaje mu charakter antyanglosaski.

Wzmożenie terroru w Rumunii

Niedawno Bukareszt był widownią burzliwych demonstracji przeciwko rządom Grozy i metodom terroru czerwonego. Według doniesień *Associated Press* rząd przeciwko demonstrantom wystąpił z energiczną kontrakcją. Policja bukareszteńska aresztowała przywódcę stronnictwa liberalnego Konstantego Bratianu i dziesięciu innych członków demokratycznej opozycji. Do tych czysto rumuńskich wewnętrznych spraw wmieszał się oficjalnie ambasador sowiecki w Bukareszcie, Kawtaradze. W publicznym przemówieniu nazwał on opozycję rumuńską „jadowitą gadziną, pełzającą po ulicach stolicy". To wystąpienie ambasadora sowieckiego uważane jest za zapowiedź nowych aresztowań i łapanek i dalszego podporządkowania Rumunii rozkazom Moskwy.

Totalistyczne wybory w Jugosławii

W Jugosławii odbyły się „wybory" do parlamentu według zasad, obowiązujących w Rosji, tzn. bez udziału opozycji, która zresztą sama wybory zbojkotowała, nie mając żadnych złudzeń co do ich totalistycznego charakteru. Głosowano na jedną listę, na kandydatów wyznaczonych przez Tito, czyli że właściwie żadnych *wyborów* nie było, bo nikogo nie *wybierano*.

Po zwycięstwie Tito udzielił wywiadu prasowego korespondentowi „Times'a". Zapowiedział w nim wspaniałomyślnie, że nie będzie stosował represji w stosunku do tych ludzi, którzy nie podzielają jego poglądów, ale dodał równocześnie, że „nie ma w Jugosławii miejsca dla tych, którzy myślą o *zachodniej* interwencji".

Charakterystyczny jest również ten ustęp wywiadu, w którym Tito mówi, że nigdy nie zawierał żadnego układu z marszałkiem Aleksandrem w sprawie wytyczenia stref okupacyjnych w Venezia Giula.

Komuniści węgierscy sabotują utworzenie demokratycznego rządu

— Agencja International News Service donosi z Budapesztu, że komuniści sprzeciwili się nominacji p. Bela Kovecs'a, członka stronnictwa drobnych właścicieli, na stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Komuniści żądają utworzenia odrębnego ministerstwa policji (czytaj NKWD) i powierzenia nowego resortu ministrowi-komuniście. Powtarza się ta sama historia, co w Polsce z rozdziałem resortu spraw wewnętrznych. Kto ma w swoim ręku NKWD ten rządzi krajem, choćby nie miał ani jednego posła w parlamencie.

Zastrzeżenia brytyjskie przeciwko „demokratyczności rządu Bieruta"

Tak samo w dalszym ciągu przychodzą z terenu Polski wiadomości o usiłowaniach Bieruta i jego pomocników przedstawienia opinii polskiej na *antyanglosaskie* nastroje. Podróż Rzymowskiego do St. Zjednoczonych i W. Brytanii wykazała, że pomiędzy Warszawą Bieruta i brytyjskimi władzami istnieje głęboka różnica poglądów, już chociażby z jego powodu, że ten sam Rzymowski oświadczył, iż Bierut nie uważa się za związanego sojuszem z Anglią. Rokowania pomiędzy warszawską misją wojskową w Brytanii i brytyjskimi władzami wojskowymi na temat repatriacji tych żołnierzy polskich, którzy okazali chęć powrotu do Kraju nie dały rezultatu. Tak samo misja finansowa nie osiągnęła zgody na przekazanie złota do Banku Polskiego. Bevin miał oświadczyć Rzymowskiemu, że wszystkie te sprawy będą załatwione zadawalniającą dopiero po przełamaniu kryzysu zaufania polsko-brytyjskiego.

„Dziennik Polski" pod tytułem „Nieudana misja Rzymowskiego", pisze:

„Celem wizyty była repatriacja żołnierzy polskich, sprawa złota polskiego i inne sprawy finansowe. *Ze strony brytyjskiej realizacja tych wszystkich spraw jest uwarunkowania koncesjami demokratycznymi, przed którymi wzbrania się rząd warszawski.* Polska płaci w ten sposób za rządy czerwonego faszyzmu odcięciem od gospodarczej pomocy zachodu, gdyż rokowania gospodarcze rozbijają się o trudności polityczne. Próby otrzymania pożyczki pod zastaw złota skończyły się niepowodzeniem".

„Daily Telegraph" stwierdza, że wątpliwości Bevina o demokratycznym charakterze warszawskiego rządu i możliwościach wolnych i nieskrępowanych wyborów w Polsce w jak najkrótszym czasie nie zostały bynajmniej przez pana Rzymowskiego rozwiane".

Pan Rzymowski ze swej strony udzielił prasie wywiadu, w którym usiłuje całą odpowiedzialność za niepowodzenie rozmów przerzucić na stronę anglosaską, a nie na swoje i swoich kolegów totalistyczne rządy w Polsce. Przy tej sposobności pan Rzymowski usiłował pomniejszyć wysiłek żołnierza polskiego, który walczył po stronie państw anglosaskich.

Nie chce wracać do Polski Bierutów i Rzymowskich również robotnik polski we Francji. Zwraca na ten znamienny fakt uwagę francuski dziennik *„Voix du Nord"* podkreślając, że mimo zachęcających obietnic i przynęt, którymi szczodre szafują emisariusze warszawscy, robotnicy polscy nie myślą o powrocie do Kraju, okupowanego przez wojska sowieckie i żyjącego pod kontrolą sowieckich komisarzy.

Fakt, że rząd warszawski został uznany przez wielkie mocarstwa niczego jeszcze nie dowodzi, ponieważ uznanie to zostało udzielone z wieloma zastrzeżeniami. Ciężar tych zastrzeżeń wzrasta w miarę jak wychodzą na jaw coraz jaskrawsze dowody całkowitego podporządkowania się władz warszawskich bezpośredniej kontroli Związku sowieckiego".

„W Polsce koncezy dziennik — zapotrzebowanie na robotników jest bardzo duże, ale robotnicy polscy we Francji (600tysięcy) nie powrócą do kraju w tych warunkach, bo nie ufają warszawskiemu rządowi prowizorycznemu.

Bitwa o Mandżurię

Wielką ruchliwość przejawia Moskwa i na Dalekim Wschodzie.

W traktacie chińsko-sowieckim zawartym w Moskwie, Rosja zobowiązała się wycofać z Mandżurii i oddać tę niesłychanie ważną pod względem ekonomicznym dla Chin prowincję rządowi Czang Kai Szeka. Tego domagał się Waszyngton, stojąc na stanowisku deklaracji kairskiej, zapewniając Chinom odzyskanie Mandżurii i przywrócenie Korei niezależności. Jakkolwiek Rosja oficjalnie nie czyni trudności Chinom w odzyskaniu Mandżurii, jednakże uruchomiła ona od dawna przygotowywaną akcję wojsk komunistycznych chińskich, które odcięły Mandżurię od Chin centralnych i południowych, stawiając zbrojny opór wojskom rządowym.

Między wojskami komunistycznymi i wojskami chińskiego rządu centralnego rozgrywa się więc bitwa o Mandżurię. Walki, jakie toczą się na granicy tej prowincji przyniosły początkowo sukcesy wojskom komunistycznym. Jednakże rząd centralny Chin przypuszcza, że wprowadzenie do akcji doborowych oddziałów jego armii, wyćwiczonych i wyposażonych przez oficerów amerykańskich, rozstrzygnie walkę na jego korzyść.

Jednocześnie amerykański podsekretarz stanu p. Byrnes oświadczył prasie, że rokowania między Waszyngtonem i Kremlem w sprawie utworzenia alianckiej Komisji Kontrolnej w Japonii, nie dały dotychczas żalnego rezultatu. Rosja nadal domaga się udziału w zarządzie Japonią na równych prawach ze St. Zjedn. Pretensja jest nadal przez Waszyngton odrzucona. Mimo zagmatwania sytuacja jest więc dość wyraźna.

DOKUMENTY

Kongresman O'Koński o wizycie W. Rzymowskiego w Ameryce

„Dziennik Polski" z 27 października rb. podaje korespondencję Zjednoczonej Polskiej Prasy w Ameryce z Waszyngtonu, która przynosi szczegóły z pobytu w Ameryce W. Rzymowskiego „ministra spraw zagranicznych" komitetu Bieruta w Warszawie.

Korespondencja stwierdza, że „całą waszyngtońską wizytę wysłannika obecnych władców Polski otaczał oficjalny chłód; tradycyjnie przyjazna atmosfera polskich wizyt urzędowych w Ameryce znikła bez śladu".

„Prez. Truman nie uważał za wskazane w ogóle widzieć Rzymowskiego. Sekretarz Stanu Byrnes widział go tylko raz w chwili, gdy Rzymowski podpisywał „w imieniu Polski" statuty Organizacji Zjednoczonych Narodów. Na wystawne przyjęcie w okupowanej przez **Janusza Żółtowskiego** ambasadzie R. P. zaproszono wprawdzie mnóstwo najwyższych przedstawicieli władz amerykańskich, ale przyszli na nie **przeważnie urzędnicy licznych misji sowieckich w Waszyngtonie.** Nie zjawił się ani jeden członek Kongresu, ani jeden z senatorów. Z rządu wpadł na chwilę sekretarz handlu p. Wallace, ale i on — rozejrzawszy się po okupowanych salonach - wymknął się bardzo szybko. Sekretarza Stanu Byrnes'a reprezentowała jego żona, również senator Connally wyręczył się żoną w składaniu wizyty. **Liczny w Waszyngtonie zespół dyplomatów południowo-amerykańskich zbojkotował przyjęcie zupełnie.** Przyszli natomiast ambasadorowie W. Brytanii Francji i Chin; zapytywali oni dziennikarzy, dlaczego nie widać zwykłego zespołu waszyngtońskich przyjęć dyplomatycznych, natomiast pełno jest **„obcych twarzy"**, zamiast znanych postaci z amerykańskiego życia politycznego".

Sprawę tego przyjęcia poruszył w Izbie Reprezentantów kongresman O'Koński w dłuższym przemówieniu, w którym — jak podaje wspomniana korespondencja — „silnie skrytykował tych Amerykanów, którzy w tym przyjęciu wzięli udział i zaznaczył, że widoczne było, że w przyjęciu tym nie wziął udziału żaden prawdziwy Amerykanin polskiego pochodzenia. Kongresman O'Koński oświadczył, że ten fakt **ujawnia prawdziwe stanowisko wszystkich uczciwych Polaków na całym świecie w stosunku do dwóch polskich quislingów wymienionych powyżej.**

„W dalszym ciągu swego przemówienia kongresman O'Koński wyraził zdziwienie, że ci ludzie którzy poszli na to przyjęcie nie zapoznali się poprzednio z przeszłością tzw. „polskiego" ministra spraw zagranicznych i mówił dalej co następuje:

„Dziwi mnie to bardzo, że ludzie, którzy tam byli, nie wiedzieli o tym, iż przez udział w tym przyjęciu czcili oni nie tylko polskiego „Quislinga" i „Lava'a", lecz również człowieka, który jest lotarackim wyrzutkiem (outcast) dla całego świata. W r. 1936 Wincenty Rzymowski został wyrzucony z Polskiej Akademii Literatury, ponieważ napisał książkę, w której prawie 1/3 była plagiatem z prac Bertranda Russela.

„Gdy istniał prawdziwy rząd polski, Wincenty Rzymowski był zwolennikiem tego rządu. Gdy w Polsce ustanowiono marionetkowy rząd sowiecki, Wincenty Rzymowski stał się również jego zwolennikiem. **W sercu jego nie ma lojalności i patriotyzmu, to też przejdzie on do historii jako polski quisling najgorszego gatunku.**

„Ci wszyscy, którzy wzięli udział w przyjęciu w ambasadzie polskiej — mówił dalej kongresman O'Koński — powinni byli zdać sobie sprawę z tego, że Wincenty Rzymowski **nie reprezentuje 7 milionów Polaków, którzy podczas tej wojny oddali swe życie za wolność. Nie reprezentuje on również 300 tysięcy żołnierzy polskich, rozproszonych na całym świecie, którzy nie mogą wrócić do swych domów. Żołnierze ci walczyli dłużej z Hitlerem, aniżeli jakikolwiek inny naród. Nie reprezentuje on również 20 milionów wolność miłujących ludzi w Polsce. Rzymowski reprezentuje tylko Mołotowa i Stalina. Nikogo więcej!**

„**Waszyngton jest przepełniony ludźmi szukającymi sukcesów towarzyskich, lecz nigdy nie przypuszczałem, że ci ludzie będą starali się zdobyć ten sukces, idąc na przyjęcie, urządzone na cześć quislinga, plagiatora i marionetkę dwuch ludzi, którzy pragną całkowicie zniszczyć Polskę.**

„Naród amerykański powinien wiedzieć o tym, co się tu dzieje, ponieważ są to pierwsze kroki w marszu quislingów do Ameryki. Quisling polski, Wincenty Rzymowski, który wbił nóż Polsce w plecy i paraduje teraz pod polskim sztandarem, reprezentuje tu tylko Stalina, a przybył poto, by podpisać statut Organizacji Zjednoczonych Narodów. Jest to obelga dla dzielnych i walecznych narodów, które podpisały statut tej organizacji, że nazwisko Wincentego Rzymowskiego znajduje się na nim.

„Żaden prawdziwy Polak i żaden prawdziwy Amerykanin nie uważa jego działalności za oficjalną i dziwi mnie bardzo że nasz Departament Stanu i niektórzy ludzie w Waszyngtonie przyjmują Rzymowskiego jako oficjalnego przedstawiciela Polski" — zakończył swe przemówienie kongresman O'Koński.

De Gaulle o stosunkach z Polską

„Dziennik Polski", z 18 października br., podał następującą korespondencję P. A. T. z Paryża:

Generał de Gaulle, po powrocie z Brukseli odbył konferencję prasową, w której odpowiadał również na pytania dotyczące polityki zagranicznej.

Gen. de Gaulle zapytano również o stosunki polsko-francuskie. Oto jak poszczególne dzienniki francuskie przedstawiły odpowiedzi gen. de Gaulle na powyższy temat:

1) „L'Aurore":

„Jesteśmy niedostatecznie informowani obecnie o narodzie polskim, lecz wiemy, że naród ten był i pozostanie wiernym sojusznikiem Francji".

2) „Le Populaire":

„Informacje są trudne do uzyskania. Sytuacja faktyczna... Lecz istnieje nadzieja poprawy. Polska jest naszą sojuszniczką od dawna i nadal zachowuje naszą przyjaźń. Niemniej, tam także spostrzega się, że konferencje trójki czy piątki są zbyt ograniczające".

3) „L'Aube":

„Francja zawsze była sojuszniczką Polski. Dlaczego nie ma nią być obecnie? Wiadomości, jakie otrzymujemy z tego kraju — zresztą wiadomości b. rzadkie, nie wiem dlaczego (śmiech na sali) — wskazują na to, że naród polski pozostaje również wierny temu przymierzu. Obecne warunki czynią nasze kontakty z Polską trudnymi, ale to się zmieni".

4) „Le Monde":

„Czy sojusz między Francją a nową Polską odgrywa rolę w odbudowie powojennej i w jakim sensie?".

„Francja była zawsze przyjaciółką Polski. Dlaczego chcecie, by zmieniła się dzisiaj? Informacje, jakie mamy o tym kraju, chociaż są rzadkie, pozwalają nam odczuć, jak bardzo masy narodu polskiego są bliskie naszemu narodowi. Jest to uczucie, z którego jesteśmy ogromnie zadowoleni i które będą podstawą naszych stosunków z nową Polską. Jest oczywiste, że sytuacja faktów wpływa ujemnie na stosunki praktyczne między tymi dwoma krajami. Mamy nadzieję, że sytuacja ta ulegnie poprawie do tego stopnia, że jak dawniej będziemy mogli być w kontakcie normalnym i braterskim z narodem polskim".

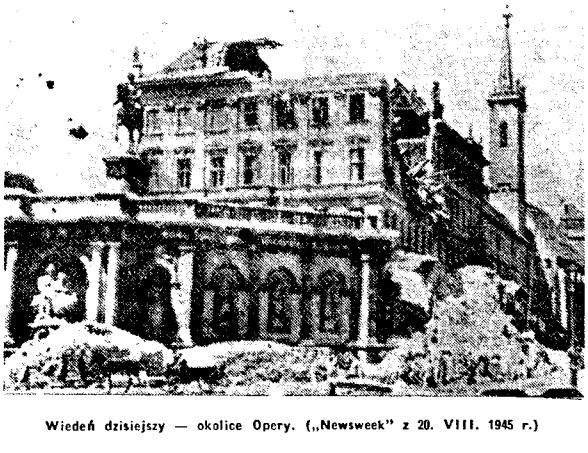

Wiedeń dzisiejszy — okolice Opery. („Newsweek" z 20. VIII. 1945 r.)

„TRIBUNE" O SYTUACJI W AUSTRII

(Dokończenie ze str. 9.)

kraju. Można przebyć dzisiaj na wsi duże przestrzenie i nigdzie nie znaleźć niczego do jedzenia".

Rosja świadomie dąży do wyniszczenia Austrii

„...Rosjanie systematycznie przeciwstawiają się każdemu ważniejszemu zarządzeniu, które mogłoby poprawić sytuację w Austrii. Zgłosili veto przeciwko układowi handlowemu z Czechosłowacją, ponieważ uważają naftę austriacką za swoją własność; nie zgodzili się na wprowadzenie w życie planu eksploatacji leśnej dla całej Austrii; popierają nawet ostatnio masowy napływ uchodźców niemieckich ze wszystkich stron do ich strefy okupacyjnej w Austrii, gdzie rząd Rennera jest całkowicie bezradny".

W taki sam sposób Rosjanie przeciwstawili się projektowi wspólnego opanowania inflacji w Austrii i w dalszym ciągu drukują bez końca bezwartościowe marki. Obieg walutowy w rosyjskiej strefie okupacyjnej przekracza już pięćdziesięciokrotnie sumę pieniędzy, jaka znajduje się w obiegu w strefie brytyjskiej; rzecz prosta, że odpowiedzialność finansową za drukowane marki przerzuca dowództwo sowieckie na nieszczęśliwy rząd austriacki.

Życie polityczne

„Jest rzeczą charakterystyczną, że zarówno partia katolicko-ludowa, jak i socjaliści chcą wyborów, niezależnie od trudności, na jakie wybory te trzeby napotkały. Obie partie są przekonane, że gdyby wybory były przeprowadzone swobodnie, komuniści zyskaliby najwyżej 10% głosów, a być może, że nawet dużo mniej. Ten wynik wyborów położyłby kres obecnej nierzeczywistej sytuacji, gdzie komuniści traktowani są na równi z innymi partiami we wszystkich organach, jak i w samorządzie. Wiedeńczycy są przekonani, że „czerwona armia ostatecznie pobiła komunistów".

Nacisk sowieckiego dowództwa na partię socjalistyczną przybiera czasem groteskowe formy:

„W niektórych okręgach rosyjskiej strefy okupacyjnej miejscowy dowódca armii czerwonej wręczył socjalistycznym przewódcom teksty dziesięciu różnych przemówień wychwalających Rosję sowiecką i domagał się, aby na każdym zebraniu socjalistycznym jedno takie przemówienie zostało przez socjalistę wygłoszone."

Wnioski końcowe

„W chwili obecnej wydaje się, że zachowanie żołnierzy sowieckich jest po myśli dowództwa sowieckiego, a nawet zdaje się służyć pewnym celom sowieckiej polityki. Wydaje się, że ludzie w rodzaju Koniewa zrozumieli, iż w kraju takim jak Austria nastawienie zachodnio europejskie nieuniknienie zwycięży. Dlatego też, aby ten kraj nie mógł być włączony do półkuli zachodniej jako zdrowa ekonomiczna całość, polityka rosyjska nie tylko nie dopuszcza pomocy alianckiej dla Austrii, ale ze swej strony jeszcze ją grabi i dezorganizuje, aby w latach następnych Austria była dla zachodu nie aktywem lecz obciążeniem."

Wojciech Kski

Sprawa Katynia w Norymberdze

Jak wiadomo z dawniejszych doniesień, sprawa katyńska figuruje w aktach oskarżenia przeciw niemieckim przestępcom wojennym, którzy będą sądzeni przez trybunał w Norymberdze.

"New York Times" z 7 bm. donosi, że ogłoszenie łącznego aktu oskarżenia o zbrodnie wojenne zostało spóźnione, ponieważ Moskwa chciała zmienić jego redakcję właśnie w punkcie, tyczącym sprawy katyńskiej. Dla zrozumienia istoty tego moskiewskiego sprostowania przytaczamy poniżej artykuł „Dziennika Polskiego" z 22 października rb. pt. „925 czy 11.000? Nowa tajemnica katyńska":

„Akt oskarżenia przeciwko niemieckiem zbrodniarzom wojennym wprowadzając do listy zbrodni, o których popełnienie są oni oskarżeni, mord katyński, jednocześnie stwarza jeszcze jedną tajemnicę Katynia.

Oto bowiem wydrukowany angielski tekst aktu oskarżenia mówi o Katyniu w sposób następujący: **„We wrześniu 1941 r., 925 oficerów polskich, którzy byli jeńcami wojennymi, zostało zabitych w lesie katyńskim koło Smoleńska."** Do tego wydrukowanego tekstu dołączona jest odbita na powielaczu notatka prostująca, która cyfrę 925 **zastępuje cyfrą 11.000.**

Nasuwa się od razu pytanie w jaki sposób mogła powstać tego rodzaju pomyłka. **Nie może być mowy o błędzie drukarskim:** gdyby wydrukowano np. 1.100 można by podejrzewać, że chodzi o błąd w druku. Tak jednak trzeba założyć, że w pierwotnym ustalonym tekście figurowała cyfra 925 oficerów polskich, jeńców wojennych. Ale w takim razie zupełną zagadką jest, skąd się tego rodzaju cyfra wzięła. Co więcej, gdyby spośród zwłok znalezionych w Katyniu, tylko 925 było zwłokami oficerów polskich, to nasuwałoby się pytanie, **co się stało z całą resztą owych oficerów, którzy bez wieści zaginęli.**

Dowodem, że w żadnym razie nie chodzi tu o błąd drukarski jest fakt, że to samo sprostowanie dotyczy innego punktu aktu oskarżenia, przy czym zmiana dokonana w tekście ma charakter polityczny i posiada dużą wymowę, która zresztą nie uszła uwadze niektórych pism brytyjskich. W tekście wydrukowanym po angielsku, w wyliczeniu aktów agresji dokonanych przez Rzeszę p.t.: „Wojna agresywna przeciwko ZSRR w pogwałceniu paktu nieagresji", figurowało zdanie następujące:

„W międzyczasie konspiratorzy nazistowscy sprawili, że Niemcy fałszywie i oszukańczo zawarły pakt nieagresji z ZSRR 23 sierpnia 1939. 22 czerwca 1941 konspiratorzy nazistowscy zgodnie z określonymi planami, zdradziecko łamiąc pakt nieagresji, wprowadzili wojska na terytorium sowieckie bez wypowiedzenia wojny, rozpoczynając w ten sposób wojnę napastniczą przeciw ZSRR." ... ...

Tekst ten został zastąpiony nowym, który głosi po prostu że „22 czerwca 1941 konspiratorzy hitlerowscy oszukańczo wypowiedzieli pakt nieagresji pomiędzy Niemcami a ZSRR i bez wypowiedzenia wojny napadli na terytorium sowieckie, rozpoczynając w ten sposób wojnę napastniczą przeciwko ZSRR."

Nie ulega wątpliwości, że tekst został zmieniony na żądanie rządu sowieckiego, który widocznie nie chciał, by głoszono, że pakt nieagresji został zawarty w sposób oszukańczy. Oszustwem ma być nie jego zawarcie, lecz jego złamanie...

W każdym razie faktem jest, że poprawki nie dotyczą błędów drukarskich i że pierwotnie Niemcy były oskarżeni przez międzynarodowy trybunał wojskowy o zamordowanie 925 oficerów polskich. Musiały w takim razie istnieć jakieś powody do wymienienia tej właśnie, a nie żadnej innej cyfry. Z punktu widzenia odpowiedzialności za dokonane zbrodnie **jest rzeczą niezmiernej wagi, by wyjaśniono w jaki sposób cyfra ta pojawiła się.**

Być może w trakcie procesu w Norymberdze uchylony będzie rąbek tej tajemnicy. Oskarżonym przywódcom politycznym i generałom niemieckim musi być w przewodzie sądowym udowodnione, że nakazali dokonanie zarzucanych im zbrodni, a m.inn. zbrodni katyńskiej. Należy więc przypuszczać, że różne szczegóły także i tej zbrodni wyjdą wówczas na jaw".

Do sprawy tej powraca "New York Times" w ostatniej korespondencji z Berlina — wyjaśniając, że błąd miał wyniknąć z tego powodu, że w raporcie sowieckiej komisji śledczej znajdowało się zdanie, iż dwóch spośród każdych 925 ofiar było cywilnych".

"New York Times" przewiduje, że sprawa katyńska będzie przedmiotem największych kontrowersji w procesie norymbergskim, gdyż Niemcy oskarżają o mord Rosję, a obrona z pewnością zażąda od oskarżycieli sowieckich dowodów ich oskarżenia. Pismo przypomina, że wykrycie grobów katyńskich doprowadziło do kryzysu dyplomatycznego, a późniejsze dochodzenia rosyjskie były nieprzekonywujące. Obecnie sprawa zjawia się przed trybunałem, w którym obowiązują zasady postępowania dowodowego. Rosjanom przypadnie więc w udziale udowodnienie ich własnego oskarżenia, że Niemcy zamordowali polskich oficerów. Z kolei Niemcy będą się z pewnością bronili posiadanymi dokumentami.

Od Redakcji

Z powodu trudności technicznych od Redakcji „Orła Białego" niezależnych bieżący numer pisma nie mógł się ukazać we właściwym układzie.

PRZEGLĄD PRASY

Angielski tygodnik socjalistyczny o atomowym chaosie

Ostatni numer „*Trybuny*" (z 2 bm.) omawia w artykule wstępnym chaos panujący w tej chwili na świecie, a zwłaszcza w Europie, którego pochodną jest nędza. Na zmęczoną ludność rzuciła swój groźny cień atomowa bomba. O spowodowanie chaosu i nędzy oskarża socjalistyczny tygodnik Rosję, w sprawie zaś bomby atomowej „Tribune" zajmuje stanowisko Ameryce niechętne.

„(Na całym świecie) rośnie jakieś groźne przeczucie, że posuwamy się bezmyślnie ku ciemnej przyszłości, która może nam przynieść jedynie nowe nigdy dotychczas niespotykane katastrofy."

„Z Wiednia i z Berlina jak i z innych punktów linii demarkacyjnej (oddzielającej rosyjską strefę okupacyjną) nadchodzą tymczasem wiadomości o ustawicznych jednostronnych poczynaniach sowieckich, które uniemożliwiają jakiekolwiek angielskie i amerykańskie wysiłki zmierzające do odbudowania nadszarpniętego europejskiego systemu gospodarczego i komunikacyjnego. Nie można zapoznać faktu, że w tej chwili nie jedna Europa istnieje, lecz dwie."

„Rozdźwięki i zamieszanie we wspólnych strefach okupacyjnych ustawicznie rosną, na co składa się wiele czynników — przesadna podejrzliwość rosyjska, całkowita rosyjska nieznajomość Zachodu — wynik dwudziestoletniej sztucznej izolacji, zabaczy charakter moskiewskiego konfiskowania „zdobyczy wojennej", i wreszcie niezdolność Rosji do wyżywienia jej ogromnych sił w Środkowej Europie z jej własnych rosyjskich dostaw."

„W rzeczy samej akcja rosyjska zapewnienia sobie bezpieczeństwa już teraz wywołuje skutki całkowicie odmienne od zamierzonych przez Rosję. Milionowe fale uchodźców niosą z sobą na zachód nowe i gwałtowne antybolszewickie uczucia."

„Rozumiemy, że W. Brytania nie może działać w odosobnieniu. W szczególności rozumiemy, że rozwiązanie zagadnień europejskich, czy nawet podejście do nich nie jest możliwe bez rozwiązania problemów światowych na szerokiej podstawie, bowiem tylko takie podejście do rzeczy umożliwi wyrzeczenie się konieczności stosowania przez każde z wielkich mocarstw własnych metod bezpieczeństwa.... Przeciwstawianie się masowym wysiedleniom ze Wschodniej Europy... zwalczanie amerykańskiego monopolu kontroli produkcji bomby atomowej... są niczym innym jak różnymi bitwami w tej samej walce."

„W chwili obecnej rzeczą najważniejszą jest odwieść St. Zjednoczone od ich katastrofalnego zamiaru utrzymania monopolu kontroli nad bombą atomową. Jest to klucz, który otworzy drzwi do dobrej woli Rosji. Jeżeli jest prawdą, że Churchill zgodził się w czasie swojego pobytu w Quebec na amerykański monopol, jest również rzeczą prawdziwą, że Churchill nie jest już premierem W. Brytanii i że przygniatająca większość, która wypowiedziała się za rządem Labour Party i za sprawą socjalizmu musi być bardziej wiążącą i decydującą dla Attlee aniżeli tajne porozumienia, które mogą jedynie pogrążyć świat w nowych katastrofach."

Przytoczyliśmy in extenso zakończenie artykułu wstępnego „Tribune" aby czytelnik nasz zdawał sobie sprawę z nastrojów nurtujących w radykalnej części rządzącej Anglią Labour Party. Naszym zdaniem rozumowanie „Tribune" jest z gruntu fałszywe, ponieważ wnioski jakie wyciąga pochodzą z fałszywego tłumaczenia obecnych posunięć polityczno-strategicznych Rosji obawą przed bombą atomową. Tymczasem jasne jest, że Rosja zrealizowałaby swe plany, choćby bomby atomowej nie było i kto wie, czy nie byłaby wówczas bardziej jeszcze zuchwała. Na szczęście, jak widzimy, obecnie Attlee nie poszedł za głosem swoich młodszych kolegów partyjnych i porozumienie osiągnięte w Waszyngtonie uzależni wydanie tajemnicy bomby od przyjęcia przez Rosję warunków, które oznaczałyby wycofanie się jej z obecnej postawy.

„Crusader" o Rosji

Od kilku miesięcy brytyjski „*Crusader*" tygodnik b. VIII armii zamieszcza co pewien czas artykuły, których tematem jest Rosja i które zmierzają do uwypuklenia różnic dzielących światopogląd anglosaski od sowieckiego sposobu ujmowania świata. Czytelnik, który śledzi te artykuły zauważy bez wysiłku, że ich ton ulega powolnej ale stałej przemianie: od bezkrytycznego entuzjazmu z okresu toczącej się jeszcze wojny z Niemcami poprzez prowadenie linii demokratycznej pomiędzy Wschodem i Zachodem, dochodzi wreszcie pismo angielskie do formułowania takich poglądów na Rosję sowiecką, które możemy wręcz nazwać ostrzeżeniem.

W numerze z 11 bm. artykuł, z którego wyjątki przytaczamy poniżej, jest dalszym krokiem po linii biegnącej od punktu bezkrytycznego entuzjazmu do punktu, w którym spojrzenie na Rosję sowiecką stanie się objektywne; ten punkt będzie zarazem miejscem przecięcia się angielskiej krzywej ilustrującej ewolucję angielskiego poglądu na Rosję sowiecką, — z linią prostą wykazującą prawdziwość polskiego spojrzenia na ostatni totalitarny ustrój na świecie.

Autor artykułu zaczyna od przypomnienia, jak to jeszcze niedawno polityka angielska wobec Rosji nacechowana była podejrzliwością i, jak to miało miejsce w czasie tej wojny, gdy opinia publiczna W. Brytanii wpadła w drugą ostateczność.

„Jest to niegodne nas wmawiać w samych siebie, że Rosjanie nie mogą postępować niesłusznie."

Autor stwierdza, że jakikolwiek krytycyzm wobec Rosji sowieckiej wywołuje natychmiast gwałtowne sprzeciwy, gdy tymczasem uwagi krytyczne wypowiadane podobnie pod adresem St. Zjednoczonych przyjmowane są przez opinię publiczną ze spokojem i bez sprzeciwu.

„Jakie mamy powody, ażeby niedopuszczać do wypowiadania jakiegokolwiek przypuszczenia na temat posiadania przez Rosję ustroju totalnego?"

„Jeżeli mamy być w zgodzie z naszym sumieniem powinniśmy ją (Rosję) badać i obserwować... poznawać lepiej jej sposób myślenia. Naszym celem w dalszym ciągu powinno pozostać zwalczanie nieprzyjaciół wolności niezależnie od tego, gdzie lub kiedy się pojawiają. Dużo nauczyliśmy się od Niemców: poznaliśmy dno perfidii do jakiego może spaść naród; jeżeli mamy oczy otwarte na Niemcy byłoby rzeczą zbrodniczą zamykać oczy wówczas, gdy się spogląda na Rosję."

„Dla osób naszego społeczeństwa bijących na alarm z powodu Rosji sowieckiej, podejrzliwość wobec niej stała się niemal patologiczną i doszła do rodzaju kompleksu... z drugiej strony i zwolennicy Rosji sowieckiej, trzeba to ze smutkiem stwierdzić, nie posiadają informacji o tym kraju pochodzących z pierwszej ręki."

„Osobiście podejrzewam, że większość zwolenników Rosji sowieckiej opiera swoje gorące sympatie na podziwie dla rosyjskiej t e o r i i (podkreślenie angielskiego autora) społecznej, która jest podziwu godną. Łatwo jest malować według ideału, gdy nic ma się pojęcia ile kosztuje wprowadzenie tego ideału w życie i co pociąga za sobą stosowanie takiego ideału. A cel nigdy, przenigdy nie usprawiedliwią środków."

„Rosja jes wielkim i potężnym narodem... Powinniśmy współpracować z nią i traktować ją jak przyjaciela. Ale gdy się bierze kogoś za przyjaciela, obserwuje się go, ocenia się według jego czynów, według jego wypowiedzi, krótko mówiąc poznaje się go. Jeżeli spostrzeżesz coś takiego w nim samym, w jego myślach, w jego światopoglądzie, co jest niewspółmierne z twoim własnym poglądem, powinieneś to uważać za ostrzeżenie i nigdy nie dowierzać takiemu przyjacielowi całkowicie. Jest to po prostu sprawa instynktu samozachowawczego."

HUMOR ANGIELSKI

Anioł pokoju i „Wielka Piątka"..... na wzburzonych falach.... ("Time and Tide")

(Dokończenie ze str. 1.)

dzie nie ma porozumienia w sprawie kontroli nad okupowaną Japonią i toczą się coraz gwałtowniejsze walki pomiędzy chińskimi wojskami komunistycznymi, a armią narodową Czang-Chaj-Czeka, wspomaganą przez Stany Zjednoczone.

Zdobycze terytorialne Rosji Sowieckiej w tej wojnie, które określiliśmy jako połowiczne i niewystarczające z punktu widzenia celów imperializmu sowieckiego, są niemniej z drugiej strony oczywistym naruszeniem zasad Karty Atlantyckiej, podpisanej również przez ZSRR i obowiązującej wszystkie narody koalicji antyniemieckiej. Imperializm sowiecki był jednak podczas tej wojny zwłaszcza w okresie zagrożenia Sowietów przez Niemcy, sumiennie ukrywany, a propaganda sowiecka wmawiała państwom demokratycznym, że stare, światoburcze dążenia bolszewizmu zostały dawno złożone do lamusa. Rządy demokratyczne przez długi czas objawiały zaufanie tym zapewnieniom Moskwy, ale w ostatnich miesiącach zaszła pod tym względem zasadnicza zmiana. Najbardziej jaskrawym wyrazem tej zmiany jest niechęć podzielenia się z Rosją tajemnicą bomby atomowej i charakterystyczny warunek sformułowany ostatnio przez premiera Attlee w czasie obrad w Waszyngtonie, aby „Sowiety wydały szczegółowe oświadczenie odnośnie do swoich ostatecznych roszczeń, które uważają za nieodzowne do zagwarantowania swego bezpieczeństwa". Taktyka mocarstw demokratycznych w sprawie bomby atomowej i żądanie ostatecznego wypowiedzenia się, co do granic zamierzonej ekspansji sowieckiej, świadczą o tym, że narody anglosaskie zdały już sobie sprawę z właściwego, imperialistycznego charakteru polityki sowieckiej.

Czy Moskwa zechce i może dać odpowiedź zadawalającą na sformułowane przez premiera brytyjskiego pytanie? Odpowiedzi należy szukać w założeniach leninizmu i materialnych i w doświadczeniach 25-letniej historii Związku Sowieckiego.

Polityka sowiecka ma przed sobą w gruncie rzeczy tylko dwie alternatywy: odosobnić się od reszty świata, zamknąć się w granicach chińskiego muru izolacji i rozpocząć nowe pięciolatki zbrojeń przeciw „kapitalistycznemu okrążeniu", jak to zapowiedział ostatnio Kalinin, albo uznać już bieżący okres za sposobny do przełamania tegoż „kapitalistycznego okrążenie". Trzecia, proponowana Moskwie, droga polityki otwartych drzwi, wzajemnej kontroli zbrojeń i przemysłu, oraz istotnej demokratyzacji ustroju, połączonej z udziejeniem Sowietom, koniecznej im, gospodarczej pomocy, jest przez obecnych władców ZSRR uważana za dobrowolną i pokojową likwidację sowieckiego ustroju, prawdopodobnie nie bez słuszności.

Moskwa znajduje się na niebezpiecznym rozdrożu swojej historii i prawdopodobnie nie powzięła jeszcze decyzji, czego wyrazem jest milczenie Stalina. Do natychmiastowej dalszej ekspansji pchają rząd sowiecki zapewne młodsze i wojskowe żywioły, trudności z wielomilionową armią o rozluźnionej dyscyplinie i wreszcie strach przed olbrzymim, zapewne niepowtarzalnym wysiłkiem nowej polityki samowystarczalności i pięciolatek. Zatrzymanie rozpędzonej machiny bolszewickiego imperializmu mogłoby się skończyć wewnętrznym załamaniem i utratą wiary w realność, jeszcze raz odłożonych, celów wszechświatowej rewolucji. Gdy nadchodzi chwila zwycięstwa „jednego świata", i gdy dialektyka materialistyczna poucza wyznawców leninizmu — stalinizmu, że rzeczy nie mogą stać w miejscu, mogłoby się okazać, że na placu pozostanie, będący w ofensywie, świat narodów chrześcijańskich i demokratycznych.

Ale decyzja natychmiastowego, dalszego marszu naprzód jest również ciężka i trudna. Może zabraknąć sił, duchowych i materialnych.

Andrzej Rusiłło

Obchód Święta Niepodległości w Rzymie

Dzień 11 listopada w tym roku stał się w Rzymie wielką manifestacją rzymskiego społeczeństwa polskiego zarówno cywilnego jak i wojskowych przebywających w Rzymie. Uroczystości organizowane przez komendanta miasta Rzym i Związek Ziem Wschodnich oddział „Włochy" dały społeczeństwu polskiemu w Rzymie okazję do zamanifestowania swych patriotycznych uczuć, swej wierności dla prawowitych władz Rzeczypospolitej, jedności społeczeństwa cywilnego i wojska, oraz wykazały, że garstka agentów Moskwy podszywających się pod polskie instytucje jest garstką izolowaną, otoczoną bojkotem i pogardą społeczeństwa polskiego.

Tłum ludności cywilnej i wojska wypełnił po brzegi polski kościół Św. Stanisława, którego mury nie zdołały pomieścić licznych rzesz Polaków przybyłych na nabożeństwo urządzone staraniem ambasady R.P. przy Watykanie. Na nabożeństwie na które przybyli przedstawiciele Rządu R.P. ambasador Papee i minister Janikowski, odprawionym przez ks. kapelana garnizonu Rzym ks. Pelza wygłosił podniosłe kazanie ks. prof. Meysztowicz. W czasie nabożeństwa przy akompaniamencie p. Sokołowskiego baryton Szpilewicz odśpiewał szereg polskich pieśni kościelnych.

Po nabożeństwie delegacje udały się przed pomnik Marszałka Piłsudskiego na viale Piłsudski, gdzie u stóp pomnika złożono trzy wieńce, od przedstawicieli Rządu R.P. ambasadora Papée i ministra Janikowskiego, od oficerów i żołnierzy garnizonu Rzym i od polskiej kolonii cywilnej w Rzymie.

Z kolei 2.100 obywateli cywilnych i żołnierzy zebrało się na poranku w kinie Barberini. Na wstępie wygłosili przemówienia min. Janikowski i płk. Ostrowski, komendant miasta Rzym. Sztandar ufundowany przez polskie społeczeństwo cywilne w Rzymie dla Karpackiego Pułku Ułanów wręczyli przedstawiciele Komitetu Obywatelskiego delegacji Pułku dla przewiezienia go do m.p. pułku na uroczystość przekazania sztandaru.

Tenor Eugeniusz Szumpich-Valori przy akompaniamencie por. Jerzego Kropiwnickiego odśpiewał szereg pieśni polskich Moniuszki, Karłowicza, Szopena, Żeleńskiego przyjętych z najwyższym uznaniem przez publiczność.

Podniosły nastrój Święta znalazł swój wyraz między innymi w gorącym oklaskiwaniu przez publiczność polskich filmów: „Monte Cassino", „Błękitni Chłopcy" i Kronika z poświęcenia cmentarza na Monte Cassino. Słowa gen. Andersa padające z ekranu pełne wiary w to, że do wolnej Polski dojdziemy, mimo tysiąca przeszkód zebrana publiczność przyjęła bardzo gorąco.

Najlepszym wyrazem nastrojów stał się podchwycony przez publiczność okrzyk na cześć Rzeczpospolitej i Prezydenta Raczkiewicza i hymn państwowy odśpiewany przez wszystkich zebranych.

Uroczystość rzymska miała charakter skromny i wewnętrzno polski. Mimo to na uroczystości m.in. wzięli udział, dając wyraz swym serdecznym uczuciom dla trwającej walki o Niepodległość Państwa Polskiego i zrozumieniu wspólnej naszej doli, przedstawiciele narodów Międzymorza z ministrmi litewskimi Łozoraitisem i Girdwainisem, min. łotewskim Spekke, gen. serbskim Michajłowiczem na czele. Na uroczystość przybyli liczni Łotysze, Litwini, Białorusini, Ukraińcy, Słowacy, Bułgarzy, Serbowie, Słoweńcy, Chorwaci i Węgrzy.

Wydawca Oddział Kultury i Prasy 2. Polskiego Korpusu Tłoczono w Ciężkiej Drukarni Polowej 2. P. K. Adres redakcji i administracji: Polforces CMF 62